

W NUEMERZE: Wrzesień 1939 roku we wspomnieniach ■ Święto „Trybuny Ludu” na Ziemi Sieradzkiej ■ CUBA – 78 czyli notatnik festiwalowy ■ Reportaż z Tarnobrzegu ■ ŁKS ma już 70 lat ■ Kryptonim „RT” ■ Proza Tadeusza Chrościelewskiego ■ Grigorij Aleksandrow – reżyser filmowy ■ NATO zbiori się ■ Recenzje ■ Felietony

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 37 (1083) ROK XXI

10 WRZEŚNIA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: Archiwum

TADEUSZ SZEWEA

POD POMNIKIEM BARTOSZA

W narożniku tarnobrzckiego Rynku stoi posąg dłuta krakowskiego rzeźbiarza Korpala. Przedstawia Bartosza Głowackiego, bohaterskiego chłopaka-kosyniera spod Racławic. Kamienny Bartosz głowę dumnie odrzucił do tyłu, prawą rękę wraz z kosą uniósł w zwycięskim geście wysoko ku górze, lewą dłoń oparł na lufie kamiennej armaty. U jego stóp przysiadł orzeł piastowski, ale skrzydła ma jeszcze rozpostarte, jakby chciał poderwać się do lotu.

Na pomniku widnieje data: rok 1904. Postawiono go w 210 rocznicę Kościuszkowskiego Powstania. Na obszarze Polski, znajdującej się pod zaborem austriackim, wzniesiono w tym czasie wiele różnych pomników, głównie ku czci Naczelnika Insurekcji. W Polańcu usyniaw nawet kopczyk w miejscu, z którego Tadeusz Kościuszko na całą „Stanisławowska Polskę” obwieszczał reformy społeczne zawarte w jego „Uniwersale”. Ale tutaj w Tarnobrzegu, gdzie żywe były tradycje ruchów chłopiejskich i gdzie ten ruch coraz bardziej się umacniał, na cokole pomnika ustawiono posąg chłopca pańszczyźnianego, wyzwolonego przez Kościuszkę za męstwo na polu chwały. Takiego bohatera chcie-

li mieć u siebie ci, którzy w owym 1904 roku przybyli tysięczną rzeszą na Rynek, by uczestniczyć w uroczystości odsłonięcia, a potem gromko śpiewać chłopski hymn: O, cześć ci, panowie magnaci, za naszą niewolę, kajdany...

W czterdzieści lat później, w listopadzie 1918 roku, znowu zgromadzili się chłopcy i wyrobnicy wokół kamiennego Bartosza, i płynęły z tego miejsca słowa o Polsce Niepodległej, ale nowej, ludowej, sprawiedliwej, bez nędzy i wyzysku. Pod pomnikiem chłopiejskiego bohatera rodziła się wówczas „Tarnobrzęska Republika”.

Dalszy ciąg na str. 5

ZBIGNIEW S. NOWAK

TAMTE TRAGICZNE DNI...

Ludwik Szumlewski należy do seniorów radiofonii polskiej. Pracę w radio rozpoczął w 1934 r., jako dziennikarz i sprawozdawca Rozgłośni Łódzkiej. Pracował także w radio w okresie tragicznych wydarzeń września 1939 roku; od 6 września, po ewakuacji Rozgłośni Łódzkiej – w Warszawie, współdziałając z prezydentem Stefanem Starzyńskim. Pseudonim konspiracyjny – „Selim”. W okresie II wojny światowej walczył na wielu frontach. Po zakończeniu wojny związał się na stałe z Rozgłosnią Polskiego Radia w Łodzi, pracując nieprzerwanie do 1969 r. Był nie tylko dziennikarzem, ale także nauczycielem i wychowawcą wielu radiowców. Z radiem współpracuje do dziś.

Oto garść wspomnień, osobistych wspomnień red. Ludwika Szumlewskiego z pierwszych dni II wojny światowej, tamtych tragicznych dni września 1939 roku.

PRZERWANY URLOP

— Dla mnie wojna rozpoczęła się już 25 sierpnia 1939 r., akurat w dniu moich imienin. Byłem wtedy w Słomnie, na urlopie, u znajomych, rodziców znanego dzisiaj radiowego dziennikarza sportowego — Zbyszka Wojciechowskiego. Jak dziś pamiętam, rozpoczynało się akurat moje przyjęcie imieninowe, było dużo gości, znajomych, wesoło, ciepła, serdeczna atmosfera. Zapowiadała się miła zabawa.

— Nie było mi jednak dane spędzić radośnie i w spokoju tych imienin. Już na samym początku tej naszej zabawy, w czasie wznoszenia pierwszego toastu do dobrego koniacka „Wilhelmhausera”, przybył niespodziewanie goniec pocztowy. Dostałem depesze od dyrektora Rozgłośni Łódzkiej Polskiego Radia, Stanisława Nowakowskiego, takiej treści: „Przerwać urlop. Natychmiast zgłosić się w rozgłosnię”. Tak moja uroczystość imieninowa została niespodziewanie zakłócona już na samym początku.

— Najpierw telefon na dworzec — o której mam najbliższy pociąg? Okazało się, że za godzinę miałem „pośpieszny” do Warszawy i potem drugi, z Warszawy do Łodzi. Oczywiście musiałem szybko zbierać się do powrotu. Przyjęcie imieninowe zostało przerwane. Pamiętam dokładnie, że żegnając się ze wszystkimi prosiłem, by nie kończyli napoczętego koniacka. By go zostawili do mojego powrotu, za dwa, trzy dni, no, może za tydzień.

— Oczywiście, wszyscy spodziewali się wojny! Natychmiast domyślił się, co oznaczała ta depesza! Ale nastroje były optymistyczne, bojowe, butne. Wszyscy przecież byli pod wrażeniem przemówień naszych dygnitarzy rządowych, że „nie oddamy nawet jednego guzika od munduru”. Wszyscy byli głęboko przekonani, że

tak właśnie będzie. Choć to przykre, ale nawet dziennikarze nie znali dobrze całej sytuacji, nawet oni byli „otumanieni” przez władze senacyjne. Nikt się więc nie spodziewał niczego złego, nikt nie podejrzewał nawet, jaka to będzie ta wojna. Wydawało się, że takiej potędy, jaką w naszym mniemaniu była wówczas Polska, Hitler nie jest w stanie zagrozić ani trochę. Takie było powszechne przekonanie, takie były nastroje. Nic dziwnego więc, że prosiłem o pozostawienie tego koniacka do mojego powrotu, bo cała wojna wydawała się sprawą dwóch, trzech dni, może tygodnia. Jak miało być naprawdę, tego wówczas nie wiedział nikt...

OSTATNIE DNI

— Po powrocie do Łodzi natychmiast zgłosiłem się w rozgłosnię. Dyr. Nowakowski zebrał wszystkich radiowców u siebie. Oświadczył, że jest pogotowie wojenne, że musimy być wszyscy zmobilizowani, przygotowani do wojny, że urlopy zostały odwołane i nikomu nie wolno nigdzie wyjeżdżać. Stało się jasne, że nie da się uniknąć wojny, że wojna będzie na pewno. Sytuacja dochodziła już do momentu krytycznego. Ale muszę szczerze powiedzieć, że nikogo to nawet specjalnie nie martwiło. Co najwyżej ludzie byli trochę niezadowoleni, że tak nagle przerwano im urlopy. Ale tym, że będzie wojna, nikt się zbytnio nie przejmował. Byliśmy gotowi do wojny! Byliśmy, jak w tych buńczucznych przemówieniach naszych dygnitarzy: „silni, zwarci, gotowi”!

— W ciągu tych ostatnich dni sierpnia 1939 roku zbieraliśmy się często u dyrektora, najczęściej we czwórce: dyr. Stanisław Nowakowski, kierownik techniczny inż. Wacław Gawroński, kierownik administracyj-

ny — Tadeusz Jarzębowski i ja. Rozmawialiśmy, dyskutowaliśmy, rozważaliśmy sytuację, analizowaliśmy różne możliwe warianty przebiegu wojny, której wybuch już „wisiał na włosku”. Pewnie, że w sercu każdego z nas czaił się jakiś niepokój, bo wiadomo, że wojna to zawsze straty, zniszczenia, a przede wszystkim ofiary w ludziach. Ale jeśli nawet się martwiliśmy, to nie o siebie samych, a bardziej o naszych bliskich. My byliśmy gotowi do podjęcia walki. Młodzież zwłaszcza rwała się do walki. Jak już wspominałem, ludzie zostali odwołani z urlopów, wrócili i natychmiast chcieli wyjechać na front. Rwali się do wojaczki, bić Hitlera! Każdy był głęboko przekonany, że wojna będzie krótka i zwycięska, że skończy się na jednym zmasowanym uderzeniu polskich wojsk, w ciągu paru dni. Takie właśnie były nastroje, taka głęboka wiara w naszą siłę, potęgę!

— Mimo wszystko jednak trzeba było zachować pewien umiar w tym powszechnym optymizmie, poczynić odpowiednie przygotowania. Jak dziś pamiętam te przygotowania. Ja sam nagrałem na „miekkie” płyty taki radiowy komunikat ostrzegawczy przeciwlotniczy: „Uwaga, uwaga, zarządzam alarm lotniczy dla ośrodka Łódź”. Byliśmy gotowi, czekaliśmy...

1 WRZEŚNIA 1939

— Zaczęło się! Od wczesnego ranka wiedzieliśmy już, że wojna wybuchła. Czekaliśmy w rozgłosni na rozwój wypadków, w napięciu, w pełnej gotowości. Faszystowski atak był błyskawiczny, nikt nie spodziewał się tak szybkiego biegu wydarzeń! Mam tu na myśli przede wszystkim atak lotnictwa, jego gwałtowne wtargnięcie daleko w głąb naszego kraju. Było to możliwe, bo jak się okazało, nasze polskie niebo było niemal bezbronne...

— Pierwsza bomba spadła niedaleko od nas, bo na ulicy Nowotki, tam gdzie dzisiaj mieszczą się zakłady „Feniks”. Druga spadła już na Narutowicza, obok samej rozgłosni, tuż przed oknem mojego pokoju redakcyjnego. Były to na szczęście tylko bomby zapalające, tak że nie strasznego się nie stało. Taką bombę wystarczyło zasypać piaskiem, by zgasić ogień. Ale wtedy już wiedzieliśmy na pewno, że to nie przelewki, że wojna rozpoczęła się na dobre! Nikt nie wiedział tylko, jak będzie dalej?

Dalszy ciąg na str. 8

KRONIKA KULTURALNA

Wrzesień jest tradycyjnie Miesiącem Filmu Polskiego. Cztery nowe filmy, 100 wznawianych pozycji, ujętych w cykl tematyczny i gatunkowy, przeglądy dorobku popularnych aktorów i twórców filmowych, a także twórczości Zespołów Realizatorów Filmowych (z szczególnym uwzględnieniem łódzkiego zespołu „Profil”) oraz wybranych tytułów filmów krótkometrażowych — złoży się na program imprez filmowych przewidzianych w ciągu tego miesiąca.

Skończyły się urlopy w łódzkich teatrach. Teatr Nowy zaczął trzydziesty już sezon od prezentacji „Cienia” wg E. Szwarcza podczas święta „Trybuny Ludu” w Warszawie. W Teatrze Wielkim — obok wznawień ubiegłorocznych przedstawień — trwa próba nad przygotowaniem premiery „Straszego dworu” Stanisława Moniuszki (premiera w październiku). Pierwsza premiera nowego sezonu będzie „Zemsta” Fredry w Teatrze Nowym (14 września). Spektakl reżyseruje Kazimierz Dejmek, autorka scenografii jest Teresa Roszkowska.

Na fragmenty miejskich murów obronnych z XIV i XV wieku natrafiono podczas badań archeologicznych prowadzonych w Inowłodzu nad Pi-

licą przez zespół, którym kieruje Jerzy Augustyniak z Ośrodka Dokumentacji Zabytków w Łodzi. Znalezione potwierdzają rolę Inowłodza jako ważnego punktu obronnego przy przeprawie przez Pilicę.

Dobiegają prace adaptacyjne nad przygotowaniem XIV-wiecznej piotrkowskiej kamienicy do przejęcia przez funkcję Młodzieżowego Centrum Kultury. W placówce tej, prowadzonej przez ZW ZSMP, znajduje się sala dyskotekowa i widowiskowa sala prób i szereg pomieszczeń klubowych.

Powstaje plan zagospodarowania 16-hektarowego obszaru w odległości o 7 km od Łowicza Maurycy — jako terenu przyszłego łowickiego parku etnograficznego. Wzniesionych zostanie tutaj około 30 budynków mieszkalnych i gospodarczych. Zrekonstruowano już pierwsze obiekty pochodzące z okolicznych wsi. Na przeniesienie czekają kolejne budynki.

Filia wielofunkcyjnego muzeum, będzie już niedługo starszy m. drzewiowy dwór w Ożarówie, w woj. sieradzkim. W obiekcie liczącym ponad 400 lat i zaliczanym do najsłynniejszych zabytków architektury drewnianej

nej w kraju trwa obecnie prace konserwatorskie.

W dniach 16 i 17 września wystąpi, po raz pierwszy w Łodzi, reprezentacyjny zespół artystyczny ZHP — „Gawęda”. Przedstawi on program przygotowany na Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Hawanie.

Konkurs na „Najpiękniejszą” głosy chłopięce i „męskie” organizuje dyrekcja Młodzieżowego Domu Kultury „Łódź”. Stąd właśnie wywodzi się Reprezentacyjny Chór Chłopięcy i Męski „Wiśniarskie Słowiki”, znany i ceniony w całym kraju, jedyny łódzki laureat ostatniego Ogólnopolskiego Festiwalu Pieśni Związku Zawodowego „Czerwona Lutnia” w Katowicach.

Studio „ENVIRONMENT” (z ang. otoczenie, środowisko) — taka nazwa przyjęła założona w tym roku grupa teatralna będąca agendą Akademickiego Ośrodka Kultury przy ZŁ SZSP. Interesujący program realizowany w dwóch placówkach. Pierwsza z nich to działalność artystyczna, której efektem bę-

da spektakle. Trwają próby nad przedstawieniem plenerowym, będącym rozwinięciem poematu rewolucyjnego, zrealizowanego wspólnie z teatrem 77 Uniwersytetu w 1977 roku. Druga placówka, to działalność warsztatowa, ze szczególnym skupieniem uwagi na problemach czasu i przestrzeni teatralnej oraz relacji aktor — widz.

W lipcu br. grupa wzięła udział w Ogólnopolskich Konfrontacjach Twórczych „Fakt 78” w Bolesławcu, gdzie prowadziła warsztat teatralny dla kolegów z teatrów studenckich z całej Polski. Wiosną przyszłego roku grupa planuje podobny warsztat z udziałem gości zagranicznych.

W działalności pozaartystycznej znajduje się także miejsce na nurt spotkań seminarijno-teoretycznych, którego uczestnikami, obok członków teatrów studenckich, będą teatrolodzy krytycy i zawodowi aktorzy. Planuje się także uruchomienie własnego skromnego wydawnictwa oraz galerii dokumentującej i eksponującej działalność młodego teatru w Polsce. Należy podkreślić, że wszystkie te inicjatywy nie będą miały charakteru zamkniętego, ograniczonego, ale będą otwarte dla członków zespołu. Będzie to działalność typu usługowego wobec środowiska. Świadczyć o tym zarówno propozycje realizacji wspólnych spektakli przez łódzkie teatry studenckie, jak i nawiązanie współpracy z amatorskim ruchem teatralnym.

Na zakończenie sprawa bardzo istotna. Grupa już od miesiąca pracuje w pomieszczeniach przy al. Kościuszki 93, w lokalu przynależnym do dyspozycji SZSP. Zarówno dogodność użytkowania jak i walory architektoniczne budynku (secesja holenderska) stanowią atuty, aby stworzyć z tego miejsca ośrodek podobny wrocławskiemu „Kalamurówi”. Mamy nadzieję, że organizacja studencka zrobi wszystko, aby ośrodek taki w Łodzi powstał.

cone różnymi imprezami. Wspominał o nich warszawski „Głos” z 1890 roku. „Zabawa ludowa trzecia została urządzona staraniem Kuratorium Trzeźwości w Zdroiskach. Ołbrzymie afisze rozlepione na rogach ulic ściskały kilkanaście tysięcy osób. W programie jednokrotnieka towarzyszyła dramatyczna Wolowiska, tudzież sztuk magiczne, żonglerka i akrobacja, podnosy choreograficzne-baletowe, wysięgi pieszne, balony, ognie sztuczne, tańce wykonane przez amatorów i amatorów środków klasy robotniczej”. Ale niestety, i na tych zabawach nie udało się uniknąć picia alkoholu.

Miejscem spotkań wytworzonej publiczności łódzkiej był Helenów (obecnie park 19 Stycznia). Ogród ten, założony przez właściciela browaru, Karola Anstadta, przeznaczony został do użytku publicznego o czywiście za opłatą. Spośród wielu opisów Helenowa najtrafniejszy jest chyba opis Stefana Górskiego, zamieszczony w książce „Łódź społeczna”.

„W Helenowie spotkać się można z grotami i wodospadami, z tarasami, łódkami, placem do gier, zwierzyńcem, cukiernią, restauracją, teatrem i orkiestrą. Jak na park spacerowy może za dużo wygód i filistrstwa, ale za drogo płacone wejście łódzianin ma w zamian wszystko, na co stać „salon letni” w stolicy królów bawelińskich W Helenowie ma się wszystko na miejscu, jest to typowy park burżuazji.”

Park helenowski wzbudził zachwyt mieszkańców Łodzi i zyskał sobie ogromną popularność. Celem przyciągnięcia do parku jak największej publiczności organizowano w nim rozmaite imprezy i atrakcje: festyny, tombole, koncerty, wystęgi itp.

W czasie festynów Helenów lśnił sejkami papierowych lamponów chińskich. Wytworna publiczność spacerowała po alejach parku, obrzucając się kwiatami, serpentynami i „confetti”. W głównej alei odbywały się corso kwiatowe. Jechali sznurami eleganckie powozy a w nich piękne panie w ogromnych kapeluszach przyozdobionych kwiatami i strusimi piórami.

NAGRODY „TRYBUNY LUDU”

1 września 1978 roku, w pierwszym dniu kulminacji święta „Trybuny Ludu” w Warszawie, organ KC PZPR opublikował listę dorocznych nagród zespołowych i indywidualnych.

Za popularyzację marksizmu-leninizmu i polityki PZPR nagrodę indywidualną otrzymał m. in.:

Mgr Józef Iwanicki, lektor KW PZPR w Skierniewicach — za aktywną działalność lektorską i szkoleniową oraz za wieloletnią aktywną pracę ideowo-polityczną wśród młodzieży.

Nagrody za inicjatywy społeczne otrzymali m. in.:

Funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej, mł. chorąży Jan Potkowski z Łodzi — za działalność społeczną w środowiskach mieszkańców, a zwłaszcza za rozwijanie różnorodnej działalności opiekuńczej nad młodzieżą;

Tadeusz Nowakowski, prawnik z Piotrkowa Trybunalskiego — za wszechstronną i wieloletnią działalność społeczną, a zwłaszcza za udział w inicjowaniu ruchu miłośników regionu, rozwoju turystyki, gromadzenie materiałów i dokumentów dotyczących historii Ziemi Piotrkowskiej;

Edward Polak, pedagog z Baldrzychowa, woj. sieradzkiego — za inicjowanie czynów społecznych w gminie, a zwłaszcza za inicjatywy budowy dróg lokalnych, boisk sportowych i świetlic młodzieżowych.

Natomiast nagrody za kształtowanie i upowszechnianie wartości kultury socjalistycznej otrzymali m. in.:

Wiesław Garboliński, artysta-malarz z Łodzi — za walory ideowe i artystyczne twórczości, za upowszechnianie sztuki w środowisku robotniczym i za aktywną działalność wychowawczą wśród studentów;

Jerzy Wawrzak — za walory ideowe i polityczne twórczości literackiej.

WACŁAW PAWLAK

ZIELONY KARNAWAŁ MIASTA FABRYCZNEGO

W Łodzi u schyłku XIX wieku Zielone Świątki dawały początek zabawom ludowym na wolnym powietrzu. Przy sprzyjającej pogodzie odbywały się one w każdy świąteczny dzień aż do początku września. Okres ten zwano zielonym karnawalem.

Letnie rozrywki łódzian inaugurowały zabawy na Wodnym Rynku (dziś plac Zwycięstwa). Rozległy rynek wraz z przylegającym do niego parkiem Zdroiskim nabierał wtedy nęciwych rysów, uroczystych do wielkiego barwnego Luna-Parku. Pobocza placu zajmowały dziesiątki kramów, bud i szalasów z przeróżnymi świecidełkami i zabawkami. Na innym miejscu widniały namioty cyrkowe, panoramy i gabinety figur woskowych. W środku placu stały karuzele, huśtawki, diabelskie młyny i ruchome posadzki. W parku były ułożone podłogi do tańca, do którego przegrzewała orkiestra scheiblerowska lub też zwykłe katarzynki.

W warszawskim „Głosie” z 1898 roku zamieszczono korespondencję z Łodzi, w której autor przedstawia atrakcje świątecznej zabawy na Wodnym Rynku: „Na placu widzimy do

jednej stronie szereg huśtawek i unoszące się w powietrzu, wśród tumanów kurzu dzwoneczki, dzieci, młode meczki i panny oraz asystujących im „kawalerów” w cylindrach i bez rekawiczek. Tuż obok na tym samym placu stoja rzędy bud, czerwonych, zielonych, żółtych, a między nimi wyróżnia się swoim ogromem i oryginalnością budowa „Elektryczna Grottenbahn”. Owa elektryczna karuzela uraczył nas jakiś „filantrop” hamburski dbały o dostarczenie nam „kojującej rozrywki”.

Ludzie zdjeżdżali ciekawością tłoczyli się wszędzie. I do cyrku, i na karuzele, i do bud z tresowanymi wilkami, a także do muzeum „historycznego” z zasuszoną skórą cieleca o dwóch głowach. Wśród okrzyków przekupniów, wrzawy rozbawionej gawiedzi, odgłosu bebnów i akompaniamentu katarzynki słychać było krzyki i płacz dzieci, wyrwających się z rak rodziców siedzących w koszu karuzelowym.

„Gwoździem” zabawy była wspinaczka na wysoki słup, wysmarowany tuszem i utawiony na środku placu. Kto wdrapał się na szczyt słupa, znajdował tam nagrodę w po-

staci zegarka lub ubrania. Zdobycie nagrody nie było rzeczą łatwą, ponieważ śliskość słupa utrudniała wspinaczkę. Ku ogólnej uciesze gawiedzi liczni amatorzy nagrody zjeżdżali na ziemię, nie osiągnawszy utraconego celu. Zwycięzca oprócz nagrody zbierał zasłużone brawa wielotysięcznego tłumu.

Podobne zabawy, choć na mniejszą skalę, odbywały się i w innych punktach miasta: w parku miejskim przy ul. Dzielnej (obecnie park im. Staszica), w ogrodzie „Wenecja” przy ul. Pabianickiej (dziś park im. Stowackiego), w ogrodach Marcelin i Langówka w Radogoszczu.

Zabawy ludowe nie odbywały się bez pijactwa, burd i biłatyk, a niekiedy i noże bywały w robocie. Ubolewali nad tym współcześni. „Lud nasz nie ma gdzie się bawić i nie umie się bawić. Zbiorowych estetycznych rozrywek dla robotników nie ma prawie wcale; czasem tańce z piątyka, kiedy indziej piątyka z bójkami są zwykłą zabawą w naszych środowiskach przemysłowych.”

Powszechnemu nadużywaniu alkoholu na zabawach ludowych próbowało przeciwdziałać się działające w Łodzi Kuratorium Trzeźwości, organizując zabawy beزالkoholowe urozma-

Festyny kończyły się pokazem ośmi sztucznych. Zachwycali one zgromadzoną w parku publiczność. Program był zresztą bardzo bogaty: rakiety z wystrzałami, walka węzów w powietrzu, burza ogniova, koronacja z gwiazd, kwiatowa fontanna i wiele innych niespodzianek. Symbolem do zakończenia zabawy był... strzał armatni.

Jedną z oryginalniejszych imprez urządzanych w Helenowie była zabawa dobroczynna na rzecz łódzkiej straży ogniowej. Na cykłodromie helenowskim zbudowano osadę japońską, na końcu której wzniesiono pagodę. Sto gejsz obsługiwało publiczność. Wieczorem na wieży pagody ukazały się płomień, zaś na najwyższym piętrze pojawiły się gejsze, wzywające ratunku. Nadjechała straż pożarna, zagraly trabki. Strażacy rozwinęli akcje ratunkową, a w nosili gejsze z ognia, gasili pożar, a publiczność biła brawa. Następnie rozpoczął się pocud, na czele postępowala orkiestra, za nią straż z pochodniami, marynarze z chorągwią japońską, gejsze i tysięczne tłumy uczestników zabawy.

Atrakcje zielonego karnawału wzbogacali także właściciele niektórych restauracji, rozporządzający odpowiednio wyposażonymi ogródkami. Urządzały w nich zabawy i różne imprezy rozrywkowe. Spora serśacie wywołały odbywające się w ogródku restauracyjnym Drehera przy ul. Piotrkowskiej popisy akrobacyjne „linocochy” Blondina które zgromadziły na miejscach płatnych około 200 osób, ale ganowiczów było co najmniej kilkanaście tysięcy. Na sąsiednich ulicach, Spacerowej (al. Kościuszki) i Zielonej, na wszystkich balkonach parkanach, a nawet na dachach domów były tłumy widzów, obserwujących Blondina spacerującego po linie rozciągniętej na wysokości trzeciego piętra.

Bywały ogrodu Sellina (Obr. Stalagradu nr 14) mogli natomiast oglądać żywe obrazy pokazywane przez towarzystwo damskie „Excelsior”. „Duch moze się tu paść do woli — wrzazął zachwyt felietonista „Dziennika Łódzkiego”. — Trykotki! do góry i dołu czyściutkie i całe, a zamiast liści figowych, efektowne szarfy z gazy i dużo kwiatów. Wszystko to razem

wzięte prezentuje się poetycznie i pobudza apetyt”. Sporo oklasków zbierał również ludzkie-woże, którzy „nadają swemu ciastu taki układ, że w pierwszej chwili nie wiadomo gdzie szukać głowy, a po bliższej obserwacji znajdujemy ją w miejscu całkiem niewłaściwym”.

W świąteczne dni ożywały też podmiejskie tereny wypoczynkowe: Łagiewniki, Bedon, Ruda, Mania. W owych latach wyleżdżano do Łagiewnik powozami, bryczkami, umalonymi zieloną furkami. Młodzież przeważnie podążała pieszo. Droga nie była uciążliwa, gdyż tuż za Bałutami wlebiała się w gęste, ciemne lasy.

Na leśnych wspaniałych Łagiewnik wypoczywały całe rodziny. Po posiłku jedni zazywali na zielonej murawie drzemki, inni zaś brali się ochoczo do tańca. Przy dźwiękach harmonii i skrzypiec, w tumanach kurzu wylizano skoczne polki i oberki. Na tańcach, koniowach i rozmaitych grach przyjemnie upływał czas.

Podobnie jak w Łagiewnikach wypoczywano i zabawiano się w lasach bedonskich, czy też w lesie miejskim na Mani. Kto nie chciał zbyt utrudzić nóg, ten wybierał na wypoczynek zagajnik miejski, ciągnący się wzdłuż toru kolei fabryczno-łódzkiej aż do sam Widzew. Można tu było popatrzeć na przejeżdżające w głębokim wykopie pociągi. Nie było to jednak miejsce odpowiednie dla samotnych niewiast, gdyż były tu narażone na zaczepki łobuzerzy z pobliskiej Pragi. Dla ukrócenia łobuzerskich wyczynów policja z pomocą kozaków urządziła obławę w zagajniku, aresztując awanturników, głównie za przestępstwo „przeciwko czci niewieściej”.

Na co dzień zielony karnawał w Łodzi przejawiał się w napisach podwórkowych akrobatach i sztukmistrzów, muzykantów i śpiewaków. Towarzyszyli im katarzyniarze, którzy na swych instrumentach wygrywali walce z „Barona cygańskiego” i melodijki z nieśmiertelnej „Podróży do Warszawy”. Z otwartych okien słychać się głoski, jako dowód uznania dla rozrywkowej działalności wędrownych „artystów”.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BLĄŻEWSKI, TADEUSZ CHROSCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELCZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.



Foto: W. Parys

ŁÓDZKI NIE TYLKO Z NAZWY

Rozmowa z prezesem Łódzkiego Klubu Sportowego – JANEM MORAWCEM

Mija 70 lat od daty powstania Łódzkiego Klubu Sportowego. W tych 70 latach zawiera się spory fragment historii miasta i sportu. Co w tych bogatych tradycjach klubu zasługuje na szczególne podkreślenie?

— Łódzki Klub Sportowy powstał w trudnych warunkach. Jego założyciele nie od razu otrzymali od carskich władz guberskich zezwolenie na działanie. Chodziło im bowiem nie tylko o rozwijanie sportu, ale też o pokazanie polskiej młodzieży w Łodzi, że Polacy potrafią nie tylko działać, ale też przodować w konkurencji z innymi. Przed pierwszą wojną światową lekkoatleci ŁKS bili nawet rekordy Rosji.

Po wojnie nasi zawodnicy byli mistrzami Polski, daleki bili rekordy, reprezentowali kraj na zagranicznych boiskach. Dziś też staramy się przodować. I wydaje mi się, że to poczucie obowiązku przodowania, reprezentowania robotniczej Łodzi w kraju, to jest właśnie to, co jest najcenniejsze w tradycji ŁKS i do czego staramy się dziś nawiązywać.

— W jakich warstwach społecznych Łódź ŁKS znajdował oparcie?

— Trzeba tu wyraźnie podkreślić, że ŁKS nie miał tak ostro określonego społecznego charakteru, jak na przykład RTS Widzew, ale mimo to od samego początku utrzymywał stały i silny kontakt ze środowiskiem robotniczym. Był to jednak klub miejski, a więc i garnął się do niego ludzie z różnych środowisk.

Wielu zawodników wywodziło się z rodzin robotniczych. Klub pomagał im w zdobywaniu wykształcenia, znajdowaniu miejsca w życiu. Oddziaływał na nich wychowawczo. Członkowie naszego klubu mieli spory udział w działalności niepodległościowej przed pierwszą wojną światową. W czasie drugiej wojny znaleźli się w szeregach tych, którzy walczyli z okupantem. Na przykład Antoni Gątecki — piłkarz, był uczestnikiem walk o Monte Cassino. Wielokrotnie prezes ŁKS, Heliodor Konopka, był więźniem obozu koncentracyjnego. W obozie został zamordowany olimpijczyk, Roman Kantor. Lekkoatleta, Tadeusz Bobiński, przechowywał klubowy sztandar w czasie okupacji, w czym pomagała mu lekkoatletka, Janina Filipka. Trofeum klubowe przechowywała w tym czasie Konstancja Hanke.

Wśród zawodników i działaczy ŁKS byli ludzie różnych zawodów i różnych środowisk. Władysław Król — olimpijczyk, znakomity piłkarz i hokeista, nim został trenerem, przez długie lata pracował w łódzkiej Elektrowni. Ludwik Szumlewski, był nauczycielem wychowania fizycznego, a później dziennikarzem radiowym. Eugeniusz Krupiński, był przed wojną działaczem związkowym, a po wojnie — działaczem partyjnym. Stefan Staliński, organizował w ŁKS przed wojną komórkę KPP. Z organizacjami robotniczymi współpracował znakomity piłkarz, również olimpijczyk, Wawrzyniec Cyll.

Wiele dla naszego klubu zrobił dyrektor jednej z przedwojennych łódzkich fabryk — Zygmunt Skibiński. Wacław Taubworel — jeden z pierwszych prezesów ŁKS — był urzędnikiem w Spółce Akcyjnej I. K. Poznański. Wspomniany już Heliodor Konopka, był urzędnikiem miejskim.

— Przez te 70 lat wielka liczba ludzi działała w ŁKS. Wielu z nich przeniosło się do innych miast, odeszło od czynnego życia sportowego. Czy oni wszyscy, lub większość z

nich, zachowali dla klubu sympatię, czują się nadal z nim związani?

— Tak. Przykładem niech będzie Turniej Oldboyów, jaki zorganizowaliśmy w połowie 1978 roku. Wzięli w nim udział oldboje z poznańskiej Warty, warszawskiej Polonii i łódzkiego Widzewa. Przyjechali też ludzie, którzy byli związani dawniej z ŁKS. Przyjechali z żonami. Podobno się im takie spotkanie i zaproszenie, aby robić je częściej. Doszliśmy w ŁKS do wniosku, że możemy robić takie turnieje w ramach wiośniarskiego święta.

— ŁKS ma wielu sympatyków w całej Polsce.

— Niewątpliwie. Czasami w różnych miastach, kiedy ktoś dowiaduje się, że jestem z Łodzi, zaraz pyta: — a co tam ŁKS? Zdarza mi się też usłyszeć kilka gorzkich słów o tej czy innej naszej drużynie, jeśli jej się akurat nie wie. Wielu ludzi, których los rzucił w inne części Polski zachowało sympatię dla ŁKS.

— Bywało i odwrotnie?

— Istotnie. Z naszym klubem związane się wiele osób, które swoją karierę sportową zaczynały w innych rejonach kraju. Wspomnieliśmy już o Władysławie Królu. Zaczynał w Lublinie. Do Łodzi przyjechał w 1928 roku i dziś jest związany z ŁKS. Właśnie w tym roku mija 50 lat jego pracy w ŁKS.

Albo inni. Stanisław Baran, grał przed wojną w Warszawie, a zaczynał w Rzeszowie. Robert Grzywoz pochodził ze Śląska, przeniósł się do Łodzi, zdobył tu zawód wiośniarza i osiadł na stałe. Teraz trenuje młodych piłkarzy w ŁKS.

— ŁKS cieszy się dużą sympatią wśród młodzieży.

— Młodzi sympatycy ŁKS, zrzeszeni są w Klubie Kibica, który uważany jest za najlepszy w kraju. Towarzystwo nasze ma drużynę w Łodzi i poza Łodzią. Organizują kulturalny doping, co jest szczególnie potrzebne w trudnych chwilach. Prezes Klubu Kibica otrzymał od nas puchar pamiątkowy za towarzyszenie w 100 meczach drużyny ŁKS.

— ŁKS jest silnie związany z przemysłem włókienniczym.

— Jesteśmy bowiem klubem przy ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex”, ale swoją działalnością obejmujemy cały przemysł lekki w Łodzi.

— Klub znajduje się też pod patronatem Zarządu Głównego ZZ Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Skórzanego i Odzieżowego. Na czym ten patronat polega?

— Najkrócej mówiąc, jest to patronat moralno-materiałny. Na przykład działacze naszego klubu rekrutują się spośród pracowników przemysłu lekkiego.

— Nie tylko z Łodzi?

— Zmarły niedawno minister Tadeusz Kunicki, był honorowym prezesem klubu oraz przewodniczącym Rady Opiekuńczej. Przemysł lekki

bardzo przyczynił się po wojnie do rozwoju naszego klubu.

— Kto wchodził w skład Rady Opiekuńczej?

— Między innymi wszyscy dyrektorzy przemysłu lekkiego.

— Kto jest obecnie przewodniczącym Rady Opiekuńczej?

— Chwilowo nie ma przewodniczącego.

— Przez te 70 lat, jakie minęło od daty założenia ŁKS, przewinęło się przez klub wielkie grono działaczy. Wielu z nich zaczynało jako zawodnicy.

— Tak było. Trudno tu dziś mówić o wszystkich, ale mamy szerokie grono działaczy, którzy w dziejach ŁKS pełnili różne funkcje i są związani z klubem od wielu lat. Na przykład Zygmunt Kaźmierczak, był prezesem, wiceprezesem, nadal działa. Ma ogromny staż pracy w klubie. Albo Władysław Wróblewski, który zaczynał jako zawodnik, później został działaczem i obecnie jest członkiem zarządu. Jest już w klubie blisko 50 lat. Henryk Urbaniak, który teraz opiekuje się młodzieżą piłkarską, był wiceprezesem, członkiem zarządu, kierownikiem sekcji piłkarskiej. Działa w ŁKS od 30 lat. Całe swoje życie poświęcił dla klubu Zygmunt Krachulec, który jest na rencie i nadal żywo interesuje się tym, co dzieje się w klubie. Od dawna związany jest z naszym klubem Józef Woźniakiewicz, Stefan Rogala i wielu innych.

Lista działaczy jest długa. Wpisują się na nią młodzi. Są u nas działaczami dyrektorzy, kierownicy, działacze partyjni, ludzie różnych zawodów, którzy mają różne też obowiązki zawodowe. A trzeba pamiętać, że większość klubowych spraw dzieje się po południu, zatem ci, którzy decydują się działać w sporcie, robią to w ramach swego wolnego czasu.

— Czy ostatnio nie zmniejsza się liczba działaczy? Uważa się bowiem, że byłoby dobrze, gdyby zawodnicy, kończąc swoją karierę, zostawali działaczami. A przecież tak się nie zawsze dzieje. Dlaczego?

— Jak już wspomnieliśmy, istotnie dawniej wielu sportowców zostawało działaczami. Teraz jest inaczej. A dzieje się tak między innymi dlatego, że w sporcie rozwinięta się specjalizacja. Wytworzyła się inna kolejność. Sportowiec zostaje najczęściej trenerem, choć nie jest to reguła. Na przykład Andrzej Klimowicz był koszykarzem, a obecnie jest działaczem. Albo Zygmunt Gutowski, Jerzy Sadek, Wiesław Szulc — są to wszyscy byli piłkarze, którzy zostali trenerami.

Poza tym sportowcy w czasie swojej kariery studiują na AWF lub uczą się innych zawodów. Nie każdy chce i musi zostać później trenerem, a zdobywszy inny zawód nie zawsze zostaje w Łodzi. To wszystko sprawia, że teraz jest trudniej o działaczy wśród byłych sportowców. Stąd też szukamy innych sposobów wiązania ludzi ze sportem.

— I to się wam udaje?

— Tak. W 1977 roku zwiększyliśmy znacznie liczbę działaczy w sekcji piłki nożnej i koszykówki. Daliśmy do tego w siatkówkę, hokeju i lekkoatletyce.

— Jak to robicie?

— Staramy się wiazać nasze sekcje z poszczególnymi fabrykami. „Vigoprim” na przykład wiazał się z sekcją hokeja. Daliśmy również do tego, aby ściślej współpracować z poszczególnymi dzielnicami. Przede wszystkim z Polesiem, bo na Polesiu są nasze obiekty sportowe, Z Bałutami — bo na Bałutach są zakłady „Marchlewskiego”. Na Widzewie rozwijamy w szkołach siatkówkę, na Górnej — koszykówkę. Związani też jesteśmy ze Śródmieściem.

— Na czym ma polegać ta współpraca z dzielnicami?

— Na Górnej, na przykład, w Tęczy powstała sekcja koszykówki, do której przekazaliśmy 12 koszykarek. A ChKS Komunalni i Tęcza przekazują nam młodych, zdolnych piłkarzy. Ale nie tylko o to chodzi.

Chcemy przy współdziałaniu władz dzielnicowych tworzyć szersze warunki działania w sporcie dla wszystkich, których taka działalność interesuje. Tworzymy na przykład komitety rodzicielskie przy sekcjach sportowych. To jest znakomity sposób rekrutacji działaczy. Wiele w tym mogą i pomagają nam władze dzielnicowe.

— Gdzie już są takie komitety rodzicielskie?

— Choćby przy sekcji piłki nożnej. Ale nie tylko. Wielu rodziców współpracuje z sekcją koszykówki.

Chłopiec czy dziewczyna interesuje się sportem jeszcze będąc pod opieką rodziców. Staramy się więc wciągać do współpracy rodziców. Niech wiedzą i widzą, jak ich dzieci trenują. Rodzice poznają sprawę klubu, zaczynają rozumieć na czym polega działalność w klubie. Później, dżiew-

czyzna czy młodzieniec kończy studia, odchodzi, a rodzic zostaje w klubie jako działacz.

— ŁKS jest klubem miejskim, nie może się więc ograniczać tylko do współpracy z dzielnicami. Jak się układa współpraca z władzami miasta?

— Spotykamy się z ogromnym zainteresowaniem i wielką pomocą władz miasta, instancji partyjnej łódzkiej i dzielnicowych. Naszymi sprawami bardzo interesuje się I sekretarz KŁ PZPR — Bolesław Koperski, interesują się członkowie kierownictwa łódzkiej instancji. Bolesław Koperski interesuje się sportem nie tylko z racji swojej funkcji, ale też jako zwawca sportu. Od dawna sympatyzuje z ŁKS i nigdy tego nie krył, nawet wówczas, kiedy przez wiele lat przebywał poza Łodzią. A że były to czasy dla naszej piłkarskiej drużyny nie najlepsze, musiał więc czasem wystąpić w różnych docinach na temat gry zespołu, z którym sympatyzował.

— Czy Panu też zdarza się czasem ustyszczyć coś przykrego na temat gry piłkarzy ŁKS?

— Zawsze w poniedziałek, jeśli w sobotę lub niedzielę drużyna ŁKS przegra.

— W klubie jest 11 sekcji?

— Tak.

— Ale wszyscy najbardziej interesują się piłką nożną?

— Bo jest to sekcja podstawowa. Wiodąca.

— Czy tylko piłka nożna?

— Nie. Przyjeliśmy zasadę, że w klubie mamy 4 sekcje wiodące. O tym, która zostaje sekcją wiodącą decyduje jej aktualny poziom.

— Jak jest obecnie?

— Obecnie sekcjami wiodącymi są: piłka nożna, hokej, koszykówka męska i żeńska. Do poziomu, jakiego wymagamy od zawodników sekcji wiodącej zbliżają się zapasnicy. Weszli teraz do I ligi.

— Które sekcje mają drużyny w I lidze?

— W I lidze mają swoje drużyny piłkarze, koszykarze, koszykarki, hokeiści i zapasnicy.

— W drugiej lidze?

— W drugiej lidze są drużyny wszystkich pozostałych sekcji, z wyjątkiem tenisa ziemnego i stołowego. Jesteśmy jednym z nielicznych klubów w Polsce, który ma taką ilość drużyn w pierwszej i drugiej lidze.

— Czy jest Pan zadowolony z wyników, jakie osiągnęły drużyny ŁKS grające w pierwszej lidze?

— Byłoby dobrze, gdyby na 70-lecie ŁKS, który z zespołami zdobył mistrzostwo Polski. Ale tak się nie stało. Mamy więc nie zaspokojone ambicje, mimo że drużyny nasze osiągnęły jedne z lepszych wyników w ostatnich latach. Piłkarze skończyli przecież sezon 1977—1978 na czwartym miejscu. Również na czwartym miejscu zakonczyli swoje rozgrywki hokeiści. Koszykarze i koszykarki zajęli trzecie miejsca. Zapasnicy — jak już mówiłem — awansowali do I ligi.

Nieźle spisali się zespoły drugoligowe. Dobre wyniki mieli juniorzy. Wszystko więc wskazuje, że w tym sezonie powinno być jeszcze lepiej.

— Jak przedstawia się szkolenie młodzieży?

— Nawiazaliśmy współpracę z 30 szkołami. Szkolimy młodzież w oparciu o szkoły. Daje to dobre wyniki. Współpracujemy też z innymi klubami w Łodzi i w województwie łódzkim miejskim.

— Z jakimi?

— Od wielu lat współpracujemy z Łodzią. Dobre stosunki łączą nas z Tęczą, z Włókiennikiem w Łodzi, Zgierzem, Pabianicami, Aleksandrowem. Współpracujemy z ChKS Komunalni i RKS.

— Jest to współpraca czy dominacja?

— Jak powiedziałem, współpracujemy z 30 szkołami. W klubach szkoli się 1800 juniorów. Nie ukrywamy, że rywalizujemy z innymi klubami. RTS Widzew ma drużynę w I lidze i ŁKS ma drużynę w I lidze. Piłkarze Widzewa mieli wice-mistrzostwo Polski, a piłkarze ŁKS byli mistrzami w 1958 roku. I jedna i druga drużyna walczy o mistrzowski tytuł.

Rywalizacja w sporcie jest rzeczą naturalną. Chcemy rywalizować nie tylko z klubami z innych miast, ale też z łódzkimi. Rywalizacja nie wyklucza jednak współpracy, wymiany zawodników, a współpraca z kole-

nie zwalnia z obowiązku przygotowywania młodzieży. ChKS Komunalni na przykład, ma silną sekcję siatkówki żeńskiej, taką sekcję ma też Start i my tworzymy u siebie sekcję siatkówki, przygotowując od lat młode siatkarki. Nie zapominamy o przygotowaniu rezerwy dla koszykówki. Młodzi koszykarze zdobyli tytuł mistrzów Polski juniorów. Odbudowujemy lekkoatletykę, szkoląc młodzież. Tak postępujemy we wszystkich sekcjach.

Z drugiej strony jednak nie ma nic w tym dziwnego, jeśli młody, zdolny zawodnik chce przyjść do klubu, w którym będzie miał lepsze warunki dla rozwijania swoich sportowych uzdolnień. Piłkarze starają się na przykład dostać do tych klubów, których drużyny grają w pierwszej lidze. Uważam to za objaw naturalny, choć z tego wcale nie wynika, że wolno nam przez to zaniedbywać szkolenie młodych. Zresztą — jak już wykazałem — nie zaniedbujemy tego.

— Nie zawsze jednak ze zdolnego juniora wyrasta dobry zawodnik.

— To inna sprawa. Nie zawsze to się udaje. Opracowaliśmy długofalowe plany szkolenia właśnie z myślą o tym, aby dla pierwszych zespołów przygotować znaczną liczbę młodzieży, wśród której można byłoby wybierać najlepszych, najbardziej przydatnych. I chyba nam się to udaje. Poza hokejem, gdzie liczba szkolących się młodzieży jest bardzo skromna.

— Dlaczego? Czy powodem nie jest tylko jedno sztuczne lodowisko w Łodzi?

— To jest jeden z powodów.

— Co więc robić? Jak temu zaradzić?

— Planujemy budowę sztucznego lodowiska z widownią i niezbędnymi urządzeniami.

— I to wystarczy?

— Nie. Chcemy też wykorzystać małe sztuczne lodowiska, jakie buduje w osiedlach Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji. Znowu chcemy oprzeć się na współpracy ze szkołami. Szkołom, które znajdują się w pobliżu tych lodowisk zapewnimy instruktorów i inną pomoc i będziemy uczyć jazdy na łyżwach.

— Planujemy wybudować halę treningową bez widowni, korty tenisowe, boiska treningowe dla małych gier. Planujemy podwyższenie trybun na boisku przy al. Unii, aby mogło się tam zmieścić 50 tys. widzów. Na stadionie jest już nowe oświetlenie. W budowie jest tablica świetlna.

— 70-lecie dzieje Łódzkiego Klubu Sportowego są barwne i ciekawe. Mogłiśmy w tej rozmowie poruszyć tylko niektóre sprawy z przeszłości i teraźniejszości. Wydaje mi się, że najistotniejsze w dziejach ŁKS jest to, iż klub potrafił zdobyć sobie sympatię i uznanie łódzian, że stał się klubem nierozdzielnie związanym z miastem. I tak będzie nadal.

— Nie mam co do tego wątpliwości. Jest to bowiem klub łódzki nie tylko z nazwy. Jest zróżnicowany z miastem i jego ludźmi. W klubie naszym działali całe rodziny, można tu spotkać kilka pokoleń łódzian, często w ŁKS byli zawodnikami i działaczami dziadkowie, ojcowie, a teraz są wnuki. I tak będzie dalej. Rozmawiał:

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Foto: W. Parys

POEZJA LITEWSKA W PRZEKŁADACH JANA HUSZCZY

JANINA DEGUTYŃ (ur. 1928)

LITWIE

Tys — mała, Tys cała w dłoniach
Królów Ciurionisa. Za to
Wśród przysmaków ziemskich uczt
Ty leżysz pachnącą kromką chleba.

Na mapie — jesteś jak listek kaliny.
W bojowej kołczudzie grunwaldzkiej
Jesteś małym kółkiem żelaznym. Jest kropla
Krew Pirclupisu w jeziorach ziemi.

Tys — świtanie nad szarą niwą,
Deszczem z promieni na wielkich placach.
Tys na globusie — bursztynem przejrzystym,
Który pachnie, jak mi się zdaje, żywica...

Nie napatrzeć się nam na ciebie,
Nasze serca całej ciebie nie zmieszczą.
Droższy, niż góry półszlachetnych kamieni,
W naszych dłoniach ten bursztyn przejrzysty.

MARCELIJUS MARTINAITIS (ur. 1936)

DURNY JUOZAS

Z miasteczka wróciłem,
Siekierkę kupiłem
I z całych sił
W ziemi uderzyłem.

I zadzwoniły,
Wszędzie zaisnily
Szable w ziemi.
Jedźcy przyjechali,
Do mnie przyskakali,
Mnie z sobą zabrali.

Co ja zrobiłem,
Co ja zrobiłem —
Zemiu
W ziemi
Rybie zabiłem?!

ALGIMANTAS MIKUTA (ur. 1943)

BALLADA O BURZY

Był pewien borowy,
miał trzy córki w domu,
wężę pod świronkiem,
żonę na ementarzu.

Błękitne, czerwone
i czarne jagody
chrzęściły w ich ząbkach,
na szybach — bursztyny.

Wszystkie wsie daleko,
a ojciec jak kamień.
We wsiach trochę chłopców,
a dziewcząt wprost chmary.

Naraz psy zawyły
i dziki ruchnęły,
tegnęły się brzozy,
rażone śmiertelnie.

Ni lasu, ni nieba,
ni ziemi, ni czeka.
Ty, o Boże, pomóż
ucieć przed tą nocą!

Świtało, lecz długo
po diabelskiej rui
leżały gestwiny,
gniazda wszędzie gnily.

Trzy córki — wiewiórki
po pnikach skakały,
nim oświeci nieszczęście
oczyścił znów drogę.

Ta droga zgłębliw,
przyjechali chłopcy —
tródmu traktorami
napadli na gaszcze.

Ozwonili topory
padały drzewa,
przynosiły córki
nieko silnym drwałam.

A ci przy ogniskach
brali te do tańca,
prosząc o nieszczołę,
ładnie nazwali.

Wekradli owieczki
córki na bierwionach...

Wlec teraz borowy,
gdzie sam krowe doł,
tak się krowie skarży:
— Burza, zrozum, burza...

TADEUSZ GIGGIER

OPOWIĄSTKI WSPÓŁCZESNE

SZKICE DO PORTRETÓW

1.
Kiedys próbował pisać, zdradzał nawet pewne oznaki talentu, niestety, zabrakło mu cierpliwości, aby ten talent rozwinąć i ukształtować. Chętnie obracał się jednak wśród pisarzy, słuchał ich rad i wskazówek, często spełniał rolę powiernika.

Jest inteligentny, dowcipny, ba, nawet błyskotliwy. Ceni siebie i ceną go drudzy. Ma, owszem, pewną słabość (któż nie ma słabości?) i umie ją dyskutować. Lubi czasem trochę zamącić, wysnuć nie subtelnej intrygi. — Wiesz — powiada do prozaika N. — rozmawiałem wczoraj z twym przyjacielem K. o twojej nowej książce. Mówił, że czytał ją z zainteresowaniem, ale tylko do pewnego miejsca. I że to w gruncie rzeczy książka nudna i chybiona.

Spotkałem się wczoraj z twym przyjacielem N. — referuje prozaikowi K. — Rozmawialiśmy o twojej ostatniej powieści. Chwalił ją, ale w dość dziwny sposób: że słuszną, zaangażowaną, odpowiadającą na ówczesne zapotrzebowanie. I że to wszystko, co można o niej powiedzieć.

Ziarno pada na odpowiednią glebę. Intrygant wie dobrze o tym, że tak N. jak i K. to ludzie zamknięci w sobie, przewrażliwieni, bardzo czuli na punkcie swej twórczości. Żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy, żeby skonfrontować rzekomo swoje wypowiedzi. Zaczynają się bocyć, patrząc na siebie niechętnym okiem. Czekają tylko okazji, by dogryźć jeden drugiemu. Ten trzeci pozostaje w cieniu, ale z satysfakcją śledzi narastającą wrogość między dawnymi przyjaciółmi.

2.

Nazwijmy go Erudyta. Jest to przydomek o tyle trafny, że z lubością wygłasza długie tyrady na każdy temat. Zna się również na literaturze, tej dawnej i tej współczesnej.

— Norwid? — monologuje. — Mówią, że to poeta zapoznany, że przeżył swoją epokę, ale, moim zdaniem, epoka wiedziała, co robi, klasyfikując Norwida tak a nie inaczej. Próbowaliśmy go czytać? Ja próbowałem, zabierałem się nawet do tego kilka razy, i za każdym razem pasowałem. Jak może być wielkim ten, którego nikt nie rozumie?

— Joyce? — peroruje. — Słuchałem niedawno wywiadu telewizyjnego Macieja Słomczyńskiego z Joe Alexem. Nawet to dowcipne. Słomczyński dowodził, że jako wytrwały tłumacz zagadek językowych Joyce'a wiele zawdzięcza mu w konstruowaniu powieści kryminalnych Joe Alexa. Więc pisarstwo Joyce'a przydało się jednak do czegoś. Dobrze! to, no bo poza tym to autor stanowczo przereklamowany. — Dąbrowska? No cóż, byłam niedawno za granicą, znajomi pytali mnie, co o niej sądzę, bo słyszeć o filmie „Noce i dnie” Antczaka. Powiedziałem, że to pisarka średniej klasy, przynajmniej w moim odczuciu. Po tem pytali o jakąś ciekawszą polską pisarkę żyjącą? Przemilczałem to pytanie, bo, prawdę mówiąc, takiej nie widzę.

Sadowi się wygodnie w fotelu, jest z siebie wyraźnie zadowolony. Tak dzieje się zawsze, gdy kogoś elokwenty, pogardzi nim, pomniejszy go w oczach swych rozmówców. Wtedy sam czuje się wyższy i lepszy.

3.

Przyjrzyjmy się trzeciemu w tej galerii postaci. To typowy besserwisser, obrazliwy, jednak, gdyby ktoś tak go znawzał w jego obecności.

— Chcecie wiedzieć, jak ja bym to napisał? — to jego ulubiony zwrot retoryczny. I choć nikt nie zachęca go do udzielenia odpowiedzi, przedstawia plan powieści, opowiadania, scenariusza (niepotrzebne skreślić).

— Ja bym to wyreżyserował inaczej — oświadcza, gdy toczy się dyskusja o filmie, spektaklu teatralnym, widoku telewizyjnym.

Wielu ulega sugestii. „Widocznie zna się na tym, skoro mówi z takim przekonaniem” — stwierdzała niekiedy.

Tak tworzy się fama, mnożą się domysły. To pewnie pisarz, być może reżyser. Na pewno coś napisał albo wyreżyserował, to nie ulega wątpliwości. Chyba dokonał czegoś ważnego. A czego, tego, niestety, nikt nie wie.

4.

Czytał w gazecie korespondencję ze Sztokholmu.

„Wszystko zaczęło się w 1625 r. W Europie toczyła się na dobre słynna Wojna Trzydziestoletnia, dzięki której Szwecja pragnęła zająć ważne miejsce wśród tworzących się mocarstw. Do tego celu niezbędna była potężna flota. Gustaw Adolf zarządził więc budowę kilku okrętów. W 1626 roku przystąpiono w Sztokholmie do budowy okrętu flagowego „Waza”. Po przeszło dwóch latach okręt „Waza” był gotowy.

Wydano rozkaz wciągnięcia żagli na maszty. Okręt ruszył, przetrwał kilkadziesiąt metrów, ominął wzgórze, na którym stał pałac królewski i, na skutek silniejszego podmuchu wiatru, nagle... zatonął.

Konsternacja była wielka. Zwolana naprzeciw specjalna komisja królewska mająca stwierdzić, kto odpowiada za katastrofę, nie umiała powiedzieć, kto tu zawiął. Konstruktor? Najprawdopodobniej, gdyż dziś wiadomo, że górne pokłady okrętu były zbyt obciążone (m. in. ciężkimi armatami), co zagroziło jego stabilności. Dowództwo marynarki? I ono nie było bez winy, skoro odkryto po latach, że admirał Klas Fleming kazał na kilka dni przed podniesieniem kotwicy biegać od jednej do drugiej burty trzydziestoośmioro grupie marynarzy i stwierdził wówczas, że nie najlepiej się dzieje ze stabilnością „Wazy”. Ale o tym nie zameldował nikomu, bo król się niecierpliwił. Komisja stwierdziła w swym raporcie, że nikt nie jest winien i tylko złośliwy los spowodował, iż jedna z największych jednostek owych czasów spoczywa na głębokości 35 metrów.

Odkrył gazetę i zadumał się głęboko. Stare dzieje, ale pewne okoliczności wydarzenia ciągle aktualne. Nie jest wprawdzie admirałem, nie nosi nazwiska Fleminga, a jednak stoi równie na rozdrożu. Jutro ma wydać decyzję o przyjęciu nowego domu kultury. Wie o tym, że budynek jest postawiony wadliwie, ale nie wiadomo, czy zawiął tu konstruktor, czy wykonawca. Za późno zresztą w to wnikać, wkrótce w nowym obiekcie ma odbyć się uroczysta inauguracja roku kulturalno-oświatowego. Przyjedzie na nią duży zespół pieśni i tańca, i co się stanie, kiedy zaczną biegać po scenie jak ci szwedzcy marynarze po pokładzie okrętu? Może jednak budynek się nie zawalił. A jeżeli wstrzyma przyłecie, wyjdzie na to, że on zawiął robotę.

Czas szybko płynie, zmieniają się układy i ludzie na stanowiskach. Był

może prawdę odkryje się też po wielu latach. Kto wie, czy wtedy będzie pełnił tę samą funkcję, może przedzie do innej pracy, a może na emeryturę. Nikt nie będzie miał prawa mieć jego zasłużonego wypoczynku. Sięgnął znów po gazetę i zagłębił się w lekturze wiadomości sportowych.

DZIELNICA POKAZOWA

Przyjemnie jest mieszkać w pokazowej dzielnicy. Chodniki równo położone (przynajmniej w tej części dzielnicy, gdzie odbywają się pokazy), trawniki przystrojone, rabatki obsadzone różami. Dzielnicę taką często odwiedzają dziennikarze, można więc — przy odrobinie szczęścia — udzielić prasie wywiadu, znaleźć się na zdjęciu prezentowanym w gazecie, a nawet trafić na ekrany telewizyjne.

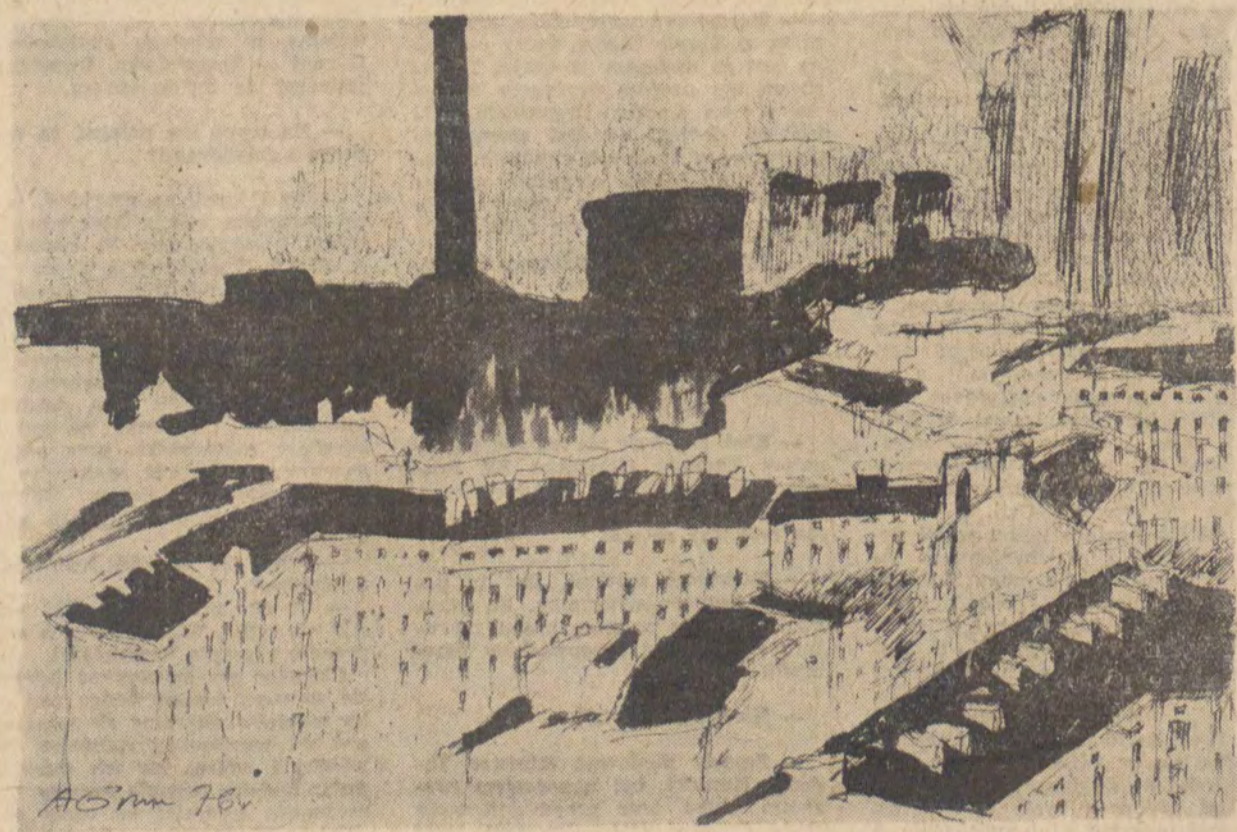
Stopień uporządkowania dzielnicy zależy jest od rangi Osobistości, które ją wizytują. Im ranga wyższa, tym uporządkowanie większe.

Niedawno miał wizytować moją dzielnicę Ktoś Bardzo Znaczący. Wywnioskowałem to z charakteru przygotowań. Pewnego ranka położono asfalt na ulicy dojazdowej, potem zaczęto zwozić jakieś glazy i sadzonki roślin egzotycznych. Ani się obejrzałem, a już na niedużym pustym placu, gdzie zwykle zalegały śmieci, urządzono stylowe alpinarium. Potem przwieziono dwa srebrne świerki, i zasadzone je nie opodal naszego bloku. Świerki się chwylały, pewnie w przebiegłych emocjach, więc opasano je drutami, które ukryto w gałęziach i przymocowano do kołków wbitych dyskretnie w ziemię. Nie zdziwiłem się: podobnie przecież uszytniamy drutem choleńkę, która nie chce stać w kacie pojeźdźcy.

Wizyta istotnie się odbyła. Wizytujący zaprzagnął jednak nieoczekiwanie pójść trochę dalej niż było to przewidziane w programie — i wtedy dostrzegł rozmaite mankamenty. W następstwie tego faktu nazajutrz odbyła się druga wizyta, tym razem gospodarzy dzielnicy, którym towarzyszyli miejscowi dziennikarze. W gazetach piszących dotąd o naszej dzielnicy w samych superlatywach, ukazało się kilka krytycznych artykułów naraz. Zaczęto porządkować pośpiesznie tereny okoliczne, któregoś rana obudził mnie niesamowity huk przenikający do pokoju. Na dworze była burza, nie mogłem się zorientować, czy jest to huk piorunów czy też huk pochodzący z innego źródła. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że w sąsiedztwo zjechało kilka zjeżdżających ogniem asfaltarek. Robotnicy drogowi kładli asfalt na bocznych wyboistych ulicach osiedla, w czym nie przeszkadzał im ulewny deszcz.

A potem wszystko ucichło. Pewnego dnia inni robotnicy zaczęli rozbierać alpinarium i rozmontowywać świerki — aby zapewne przewieźć te upiększające nasze osiedle rekwizyty na inne wizytowane miejsce. I wtedy stała się rzecz przedziwna: mieszkańcy okolicznych bloków sprzeciwili się tym zamierzeniom. Otoczyli zwartym kręgiem alpinarium oraz zasadzone drzewa i nie dopuścili do ich transplantacji. Dzięki temu owe ozdoby osiedla pozostały, a nasza dzielnica jest nadal dzielnicą pokazową.

PEJZAŻE ŁÓDZKIE ANDRZEJA GRUNA



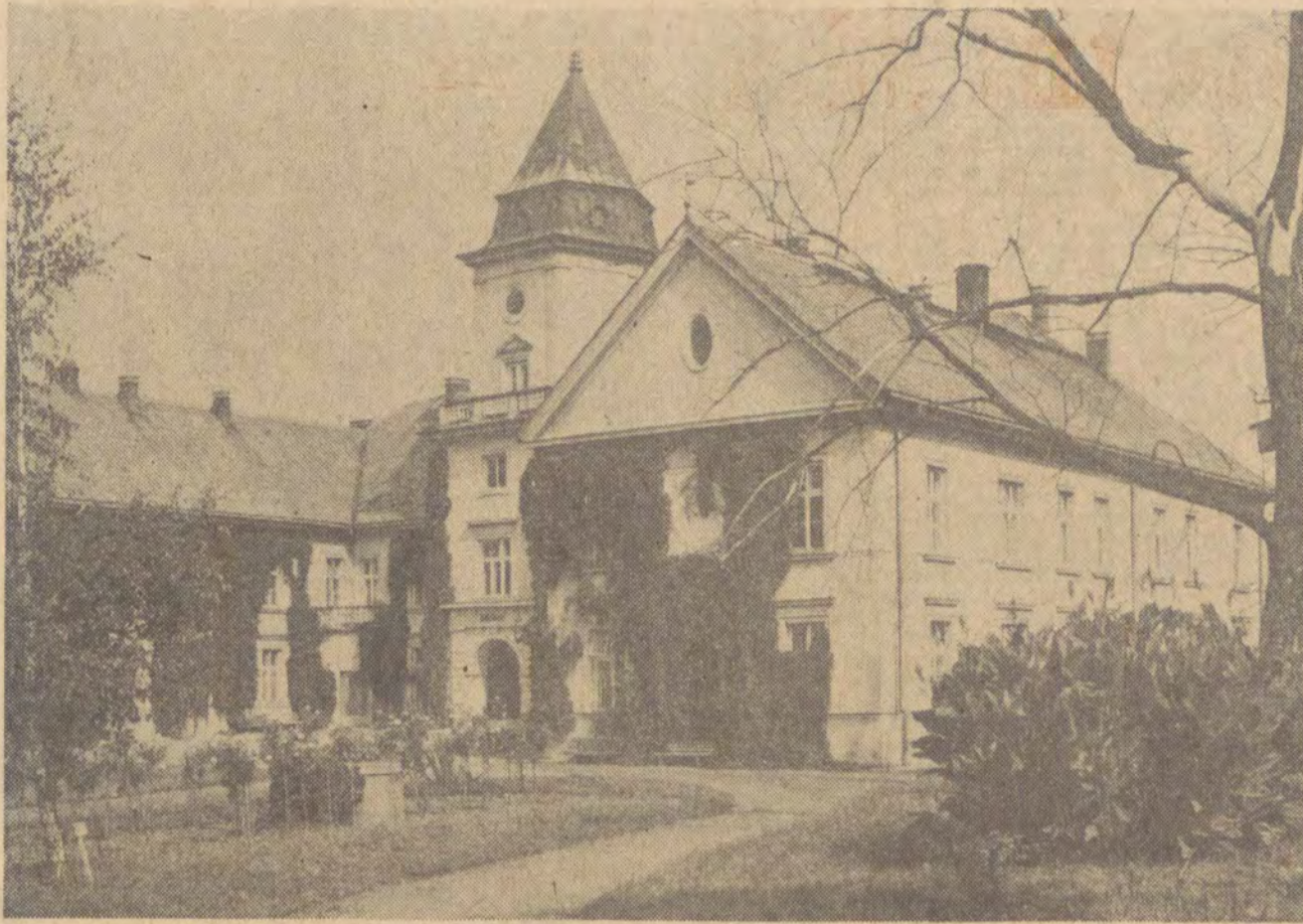


Foto: Archiwum

POD POMNIKIEM BARTOSZA

Dalszy ciąg ze str. 1

Owe narodziny niepodległości na ziemi tarnobrzeżskiej opisał w pamiętnym roku osiemnastym, anonimowy chłopski poeta:

Pod tym pomnikiem lud się raz zgromadził
W listopadowe południe gorące
I nad niedolą bratnią swoją radził
A ludzi wioskowych zesłał się tysiące,
Z Bartoszewego posągu trybunu
Strzelaty chłopskich mówców słów pioruny.

Ide teraz przez Rynek, na którym „działa się tamte dzieje” i na którym stoi niewzruszenie chłopski bohater spod Racławic. Przy wschodnio-północnej części widnieją jeszcze parterowe domki i jednopiętrowe kamieniczki — niemi świadkami przeszłych wydarzeń. Na frontonie jednego z domów, na wprost pomnika, wmurowano kilka lat temu tablicę pamiątkową ku czci Tomasza Dąbala, przywódcy „Republiki”. Reszta rynku jest już przebudowana, wyrosły przy nim nowe bloki i pawilony handlowe. Dawne centrum, które przed wojną wypełniał gąszcz żydowskich budek sklepikowych, zdołał skwery i kwietniki. Plac jest ogromny, powstał z połączenia Małego i Dużego Rynku. „Nie ma ulicy Zielonej” — pisał nie tak dawno z żalem Czesław Schabowski, literat rodem z Tarnobrzeg. Nie ma także dawnej ulicy Szerokiej, Rółki i innych. Nie ma Wielopola z pastwiskami, zabudowanymi targowiskiem. Cały dawny Tarnobrzeg zmienił i nadal zmienia swe oblicze. Takie stały się czasy, że Stare ustępuje miejsca Nowemu. Przeszłość pozostaje już tylko na kartach kronik. A przecież niektóre z tych kart, na tle tego nowego życia, nabierają jakiejś szczególnej ostrości i szczególnej wagi. Może dlatego, że miały wpływ na kształt obecnych naszych dni?

Nie urodziłem się w Tarnobrzegu. Miasto, położone malowniczo na wysokim brzegu Wisły, jest tylko Ojczyzną mego dzieciństwa i mojej młodości. Ale do Tarnobrzega nadal mnie ciągnie, jak do rodzinnego gniazda. Wiele przeżyłem przy ładzie okazji i pod ładą pretekstem, i co tu dużo ukrywać — szukam uparcie odeszłego czasu. I podobnie jak rodak tarnobrzeżski, Czesław Schabowski, stwierdzam z żalem, że z miasta mego dzieciństwa pozostały załedwie i to tylko w części: ów dawny Rynek z posągami Bartosza i kilka wąskich uliczek Dzikowa i Nadola. To są takie niby — dzielnice, podobne bardziej do wsi, które otaczały kregiem pałac hrabiego Tarnowskiego. Szczycą się tym, że były kolebką miasta „na taminowym brzegu Wisły”.

Terazniejszy Tarnobrzeg pisze już nową historię. Powiatowe miasteczko prawie nie istnieje. Wielkopłytowe bloki kilku osiedli oraz „stada” jednorodzinnych willi, także na Wielopolu, zastąpiły dawną drewnianą na ogół zabudowę, w której gnieździło się do wojny 3 tysiące Polaków oraz 3 i pół tysiąca obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Ci ostatni w większości zostali wymordowani przez niemieckich okupantów. Zginęły też dziesiątki rodowitych tarnobrzeżan.

Kiedy wojna oddaliła się wreszcie stąd na zachód, a było to w sierpniu 1944 roku, w mieście odliczyło się

niewiele ponad 2 tysiące ludzi. Usiłowali oni tworzyć nowe życie, robili co mogli. Ale ruiny i zetiłałe skutki kominów straszły jeszcze w latach pięćdziesiątych. Potem odkryto złoża siarki i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko zaczęło się zmieniać. Obecny wojewódzki Tarnobrzeg liczy już ponad 30 tysięcy mieszkańców. Dwie trzecie z nich, to osadnicy, przybyłe z różnych stron kraju. Połowa, to ludzie bardzo młodzi, urodzeni już po wojnie. Coż oni wiedzą o starym mieście, którego nie ma, i o odeszłym czasie? Dla nich historia — to nowe powojenne dzieje, to przede wszystkim życiodajna siarka.

Przyjechałem do Tarnobrzega właśnie prosto z odkrywkowej kopalni w Machowie (to załedwie 4 kilometry stąd), i po zwiedzeniu części kombinatu Usiłuję przywołać przed oczyma obraz dawnego miasteczka; obchodzę wokół kamienny posąg Bartosza i rozglądam się po Rynek, nad którym górują wieże kościoła o.o. Dominikanów i nowy blok mieszkalny z apteką, księgarnią i sklepem „dla dzieci” na parterze. Myślę o dniu dzisiejszym i o dniach odeszłych, zapisanych na kartach miejscowych kronik. W przeszłości Tarnobrzega, chociaż niebogatej, niby w miniaturowym lustrze odbijają się cząstki dziejów całej Polski.

Nie bardzo wiadomo, kiedy miasto poczęło się naprawdę. Ale o tym, że Tarnobrzeg był już w końcu XVI wieku zaświadczają dokumenty, w którym „za łaskawą zgodą króla Zygmunta Staroży”, istniejąca wokół rezydencji Tarnowskich zabudowa w Dzikowie, otrzymała prawa miejskie. Od tej pory w dziejach miasteczka, a potem miasteczka i miasta powiatowego, przez dwa przeszło stulecia pojawiać się będą przede wszystkim Tarnowscy. Oni też wyrwają decydujący wpływ na gospodarczą i polityczną strukturę całej okolicy. To właśnie m. in. w tutejszym zamku w 1734 roku utworzona została Konfederacja Generalna, zwana też „Dzikowską”, popierająca króla Stanisława Leszczyńskiego w jego walce o tron przeciw Augustowi II Sasowi. Tu też w 1863 roku na wezwanie hrabiego, zorganizowany został oddział powstańczy pod wodzą młodzieńczego Juliusza Tarnowskiego. Miał on w sprzecz sily Langiewicza i Czachowskiego, walczące w paśmie Gór Świętokrzyskich i na ziemi opatowsko-sandomierskiej. Marmurowy sarkofag z prochami poległego Juliusza, można podziwiać w prezbiterium klasztoru. W ogóle jak sięgnąć pamięcią w dzieje Tarnobrzega, historia (do pewnego czasu), zawsze obracała się wokół zamku w Dzikowie. O nim i o Tarnowskich, mówiono w mieście i na wioskach. Jeszcze dzisiaj niektórzy rodowici tarnobrzeżanie wspominają Zdzisława — hrabiego seniora, stetryczalego i zdiwaczalego, który przeciw prócz jaśniepańskich fanaberii, sporo dobrego zrobił. To on dał początek powszechnej oświecie tuż przed końcem XIX wieku, kiedy to ponad „tylko jeden chłop z całego Dzikowa, Franciszek Słomka, umiał czytać i pisać”. Przecież to hrabina ufundowała szpital i wypożyczyła klasztor Dominikanów, i z tego tytułu w prezbiterium znajduje się sporo marmurowych tablic, poświęconych rodowi Tarnowskich. Nawet szkoły powszechne i gimnazjum, działały pod patronatem Dzi-

kowa. Tak było od początku i tak było jeszcze u zarania naszego XX wieku. Życie toczące się w zamku wywierało zdecydowane piętno na życiu miasta i powiatu. Chociaż... chociaż już coraz wyraźniej zaczynał się zaznaczać rozdział między dworem a wsią. Świadomość społeczno-polityczna chłopów rosła w miarę, jak poszerzała się oświata. Ufundowana przez Tarnowskich szkoła i udostępniona w części chłopskim dzieciom, poczyniała rodzić niezamierzone owoce. A już szczególnie gorzkim — była „Republika” w osiemnastym roku.

Dalekie to dzieje; sześćdziesiąt lat upłynęło w tym roku od tamtych wydarzeń. W najnowszej historii Tarnobrzega, zwłaszcza tej z okresu II wojny światowej, jest sporo fascynujących rozdziałów.

— będzie to obrona przeprawy na Wiśle we wrześniu 1939 roku, którą dowodził samoradnie komendant miejscowego Przysposobienia Wojskowego, syn chłopca, porucznik Józef Sarna. Bł sił do ostatniego naboju i padł wraz z garstką swych żołnierzy nad brzegiem rzeki, do której przez trzy dni nie dawał wrogość dostępu;

— będą to późniejsze bojowe szlaki oddziału partyzanckiego „Jedrusiów”, których kolebką stał się właśnie Tarnobrzeg, i których twórcą oraz dowódcą był Władysław Jasiński, syn wiejskiego nauczyciela. On też poległ w walce o czyste strony;

— będzie to wreszcie wspólna walka jednostek radzieckich i oddziałów partyzanckich BCH i AK dowodzonych przez „Czarnikę” i „Bławatę” przy wyzwalaniu miasta w sierpniu 1944 roku i torowaniu przeprawy na przyczółek.

Byłem bezpośrednim lub pośrednim świadkiem tych zdarzeń. Opowiadam o nich często moim znajomym i przyjaciółm w Łodzi. Najnowsze dzieje Tarnobrzega zawsze mnie interesowały. Lecz niemniej frapują mnie losy dużo wcześniejsze „Tarnobrzeżskiej Republiki”. Od pewnego czasu usiłuję nawet zebrać dokumentację do większego opracowania. W tej chwili mojateczka z notatkami, odpisami relacji i dokumentów, jest jeszcze skromna. Ale mogę już sobie wyobrazić, jak rozdziła się ta Niepodległa, chociaż krótkotrwała, Chłopska Polska w osiemnastym roku. Mijając kiedyś wsiadłem do autokaru i mając ostatnie bloki nowego osiedla wjeżdżałem na szeroką Wistolastradę, zaczynałem odczytywać sobie te luźne notatki. Mimo wyraźnych jeszcze luk, układają się one w jedną z ciekawszych kart, zapisanych ognisł w dziejach dzisiejszej stolicy slarkowego zagłębia. Jej początek był następujący:

Nadszedł czas żniwny, a po nim dni jesienne 1918 roku. W okolicznych wsiach pojawili się wtedy pierwsi dezertjerzy z armii austriackiej. Byli to przeważnie chłopcy z tych stron lub zaa Sanu. W dzień kryli się po różnych norach i wykrótach leśnych. W nocy podchodzili do chałup, by się pożywić oraz pogadać o rychłym końcu wojny i upadku cesarstwa i carów. Za jedzenie i cywilną bluzę zostawiali broń. Potem przyszedł październik...

Wójt z Dzikowa, Jan Słomka, zapisał wówczas w swych Pamiętnikach ułoiściennia:

„W Tarnobrzegu upadek władzy okupacyjnej ujawnił się najjaskrawiej 31 października. W dniu tym zgromadziło się na Ryunku (...) wielu dez-

zertjerów wojskowych, którzy mieli bączki (rozetki) austriackie z czapkę pożywane, nie salutowali, tj. nie pozdrawiali swojej starszyny i ciachaczem opowiadali, że w innych miastach Galicji, dokonywa się rozbrajanie wojsk austriackich i że już jest po Austrii”.

Jak podają inne źródła, rozbrawanie stacjonujących w mieście żołnierzy zaczęło się w nocy z 31 października na 1 listopada. Hasło „do czynu!”, rzuciła młodzież ze szkoły realnej. Rankiem poddało się dowódczo batalionu austriackiego z pułkownikiem Meinlem.

„Żołnierze na wiadomość o zakończeniu wojny, wydali broń i ruszyli na kole, celem odjazdu do domów. Ludność miejscowa z Dzikowa zaopatrzyła tych żołnierzy w żywność na drogę, a w zamian za to otrzymała karabiny i amunicję...”.

Za przykładem tarnobrzeżskiej młodzieży i dzikowian, ruszyli chłopcy z okolicznych wsi rozbijając po drodze posterunki żandarmerii. Gniew ludu był potężny. Nadeszła pora zapłaty za wszystkie okrucieństwa, których dopuszczali się przez lata „służbiści spod znaków c. k.”.

Jan Słomka pisał: „Na wsiach żandarm był wielkim panem, na jego widok każdy prawie dygotał, bo żandarm każdego mógł zapisać na karę, mógł aresztować każdego podejrzanego, skuć w razie oporu, a nawet bronią obezwładnić (...). W czasie wojny żandarmi pilnowali, ażeby każdy w oznaczonym terminie szedł do wojska, do okopów, tropili dezertjerów wojskowych, przeprowadzali rewizje, zabierając po wsiach ostatni kęs żywności...”.

Tymczasem w pałacu w Dzikowie toczyły się burzliwe obrady. W obawie przed narastającym rewolucyjnym wrzeniem wśród społeczeństwa i przed przejęciem władzy przez chłopów i robotników rolnych, na wniosek hrabiego Tarnowskiego został powołany 2 listopada Komitet Samoobrony Narodowej. W pierwszej i chyba jedynej odezwie do ludności powiatu tarnobrzeżskiego, apelował on: „W imieniu ojczyzny zaklinamy, byście karnym posłuchem obecnej władzy dali dowód, że zmartwychwstała Polska ma w Was godnych siebie synów; żadnych niepokojów i zamieszek. W spokoju, powadze i cierpliwości oczekujecie chwili, w której polskie władze doprowadzą do końca budowę naszej państwowości”.

Lecz tylko cztery dni sprawował władzę zamek w Dzikowie i wspomniany Komitet Samoobrony. Pełniący z rozkazu gen. Roji funkcję Powiatowego Komendanta Żandarmerii Polskiej porucznik Tomasz Dąbal, syn biednego chłopca z pobliskiego Sobowa, zarządził w dniu 6 listopada wielki wiec. Pieszo i na furmankach ciągnęli do miasta niezliczone rzesze chłopów, by potężnym pochodem dotrzeć na Rynek pod pomnik Bartosza Głowackiego. Na przedzie szli przywódcy: porucznik Tomasz Dąbal i ksiądz Eugeniusz Okoń, twórcy Chłopskiego Stronnictwa Radykalnego. Dąbal miał przygotowany projekt powołania Zjazdu Delegatów i wywołania z niego ludowej władzy. Ponad głowami 30-tysięcznego tłumu, wypełniającego Rynek, płynął potężny głos kaznodziei Okonia, przemawiającego ze stopni posagu kamiennego kosyniera:

„Żołnierze, robotnicy i ty biedoty wiejska. Zasiłwał wreszcie dla was wszystkich dzień wyzwolenia, swobody, porachunku za tyle krzywd doznanych, za tyle poniewierania twej godności, za tyle wyzysku ciebie, chłopie polski, który jakkolwiek jesteś krwią, siłą i mózgiem tej ziemi, poniewierany byłeś i poniżany... Już nie będziesz się wysługiwał panom i mozołł dla obecnej sprawy. Żołnierzu wynieźdźniały w okopach (...) Ty bronieś tej ziemi, a skoro ją obrońisz, ty masz prawo do tej ziemi (...) Ten chłop, Bartosz Głowacki, który z tego pomnika na was spogląda, on przeze mnie do was mówi, że od dziś panem tej ziemi ty jesteś, chłopie, ty jesteś, robotniku; a spogląda ten Bartosz na ten Rynek i gniewa go to, że tu dookoła tyle pracy chłopskiej używają (...) ci, co kryli się w czasie wojny po Wiedniach i Berlinach (...) Precz z tymi paszarytami, co nie orzą, nie sieją, a z chłopskiej jedynie skóry buty szją dla siebie. Twoje powinno być to miasto, robotniku, mieszczanie i będzie (...) Władza cała przechodzi, chłopie, w twoje ręce, a jak będziesz rządził, taki będziesz miał rezultat...”.

Tak przemawiał chłopski trybun ze stopni pomnika w dniu 6 listopada 1918 roku. I zadrażył mury miasta od potężnej pieśni, która wyrwała się z piersi 30-tysięcznej rzeszy: O, czesł wam, panowie magnaci... A bezimienny chłopski poeta dopisał w swym wierszu ostatnie dwa wersy:

I wnet się rozległa w Polsce wrzawa dzika:

Jest w Tarnobrzegu chłopska Republika.

Taką to fascynującą kartę ma w swych dziejach miasto mego dzieciństwa i mojej młodości. Wyruszam teraz w ponowną podróż, w poszukiwaniu jej dalszego ciągu.

PO PROSTU: II FESTIWAL INTERWIZJI

Miałem — przyznam się od razu — spory kłopot z nadaniem temu materiałowi właściwego tytułu. Tak się składa, że obejrzałem w swoim życiu z bliska kilkadziesiąt festiwali piosenek, a spośród kilkunastu sopóckich, jakie dotąd się odbyły (bo chcąc nie chcąc trzeba Festiwal Interwizji z wcześniejszym Międzynarodowym Festiwalem Piosenek trzeźwić jedną miarą nie tylko z uwagi na to samo „miejsce akcji”), byłem na większości widzem w Operze Leśnej. A mimo tego doświadczenia nie mogłem w tym roku wpaść na pomysł jakiegokolwiek efektownego tytułu. Jako najbardziej kompetentnych w zakresie kształtu artystycznego tegorocznej imprezy radziłem się nawet panienek imprezujących i przyjmujących kwiatki (personifikacji, personifikantek, personifikatorek — czego to ludzie nie wymyślą; jakby nie było większych problemów), ale akurat musieli wyjść na estradę a potem jakoś wszystko rozeszło się po kościach.

Tak więc, przejrzawszy werdykt Rady Artystycznej Konkursu Organizacji Telewizyjnej, postanowiłem zaanonować po prostu: II Festiwal Interwizji, bo w końcu w obrębie Interwizji to wszystko się zamknęło. Po przeczytaniu listy nagrodzonych każdy dojdzie do wniosku, że z sopóckiego festiwalu zrobił się coraz bardziej jaskrawo „Wyśięg Pokoju”. Z roku na rok prym wiodą cztery drużyny: ZSRK, CSRS, Polska i NRK.

Tym razem zwyciężyła — zdobywając Grand Prix Festiwalu — gwiazda „soponu” sprzed dwóch lat — Alla Pugaczowa, bo okazało się, iż „Wszystko gotowe!” (to bardzo interesująca piosenka), „Ten chleb-je Twój i mój” zaś śpiewał świetnie poruszający się na scenie Waszek Nackar, a Dagmar Fredrick oddała tango z figurami od czasu do czasu przy tym śpiewając. Natomiast w finałowym koncercie nasza laureatka — Lidia Stanisławska pokazała, jak się śpiewać nie powinna, nawijając gigantyczną „plamą” do tradycji Lucji Prus z ubiegłorocznego „Opola”. Czeska orkiestra pod dyrykcją Václava Zahradníka (jak festiwal Interwizji, to musi być międzynarodowy, stąd zaproszenie dla praskiego zespołu telewizyjnego) nie była już w stanie znaleźć się z solistką do końca piosenki, tym bardziej że wykonawczyni śpiewała już później wszystko na jednym słowie: „gwiazda”. Nie dziwnego, skoro ludzom wbiła się nieustannie do głowy, że są gwiazdami...

Pisząc o festiwalu trzeba wspomnieć o kolejnym, drugim już występie w Operze Leśnej orkiestry PR i TV z Poznania pod dyrykcją Zbigniewa Górskiego (ten ostatni, wraz z Januszem Mojanem dzielił kierownictwo muzyczne całości). To młody zespół, pełen werwy, zapala, i bardzo przy tym wszystkim pracowity. Młodym muzykom brak jeszcze nieco doświadczenia, ale nadrobią to ambicją, co nadal pozwalałoby mówić, że ten zespół dobrze nadzieje na przyszłość. Było to dla mnie jedno z najlepszych miłych rozczarowań.

Natomiast przytłaczającym momentem było dla mnie ponowne pojawienie się w roli gospodyni — Ireny Dziedziak, która swoją bezradnością i bezbarwnością nie zdobyła chyba tym razem sympatii nawet u swoich sympatyków (i sympatycek). Scenografia ustawiła nieszczyśliwie Jacka Bromskiego za stołem prezentera, ale w środku widowni i tyłem do publiczności (w dodatku, kiedy stał, to mnie osobiście zasłaniał artystów). Czy nie lepiej byłoby zamontować ten „kołec” dla Jacka z boku, po lewej stronie opery, tam, gdzie postawiono lacht?

Jachtem — tym, będącym Nagrodą Publiczności Interwizji, wróci — jak wiadomo — do Belgii 4-osobowa załoga — członkowie zespołu wokalnego „Dream Express” (skurczył się w kabinie cztery miejsca). I słusznie — bo z uczestników Konkursu Wytwórni Płyty (i nie tylko) nie mieli sobie równych na tym festiwalu, co sprawiło, że zostali równocześnie uhonorowani Grand Prix de Disque. A w dalszej kolejności nagród zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Bo oto Maggie Ryder z Polydoru z Wielkiej Brytanii zostaje obdarowana drugą nagrodą, a dopiero za nią — na trzeciej pozycji — klasyfikuje się wyraźnie lepsza Rory Block, Amerykanka z Chrystsalisa. W ogóle nie zauważano, że Japonka Yoshiko Kimura choć była białą, była jedną z czołowych artystek festiwalu. Natomiast wyżej od nich wszystkich, na pierwszym miejscu, oceniono polską grupę „Dwa plus jeden”, która w konkursie wypadła nadzwyczaj źle. Przypadek?

Nagrody mające zawsze specjalną wartość, jak ją określiła zwrótem nadającym się, jedynie do „Szpilek” — Irena Dziedziak, Nagroda Dziennikarzy a kretyto wana — przy festiwalu. Tym razem otrzymał ją — nie wiadomo, za co — Zbigniew Wodecki, prezentujący, niestety, dość wątpliwe piosenki w jednostajny sposób. Ale Wodecki pochodził przecież z Krakowa, a właśnie w tym roku było sporo dziennikarzy z tego miasta i oni to „zabezpieczyli” Wodeckiego na wypadek nie otrzymania przez niego Nagrody Publiczności (słusznie zresztą). A swoją drogą, jak długo na sopóckich festiwalach będzie pokutował pogląd, że im więcej nagród dla Polaków, tym lepiej. Że to sprawa prestiżu. Wszak to właśnie przyczynia się do obniżania rangi tej imprezy.

Goście-gwiazdy przyjechali w tym roku zgodnie z zapowiedziami i spisali się świetnie (mnie najbardziej podobał się występ Drupiego z zespołem, a najmniej — holenderskiej grupy „Fusyca”, która grała i śpiewała z play-backu robiąc z nas balona). Reżyser Jerzy Gruza stał się autorem jeszcze jednej „Wielkiej Improwizacji” pod nazwą II Festiwal Interwizji.

Do zobaczenia za rok! Albo i nie.

TADEUSZ SZEWEA

STANISŁAW WILCZYŃSKI

O POTRZEBIE WYOBRAŹNI

Ulica Piotrkowska jest dla Łodzi... samą zresztą wienią; od ponad stu lat pełni rolę autentycznego centrum handlowego. Na odcinku od Jarcza do Główną jest również tym naważnym fragmentem śródmieścia, w którym po prostu bywa się — z konkretnym celem lub bez niego — bo takie jest właśnie przeznaczenie centralnych obszarów miast. Wszystko co na Piotrkowskiej mieści się lub działa, nabiera dodatkowego znaczenia i wielkomięjskiego prestiżu. Jest to również najlepsze miejsce do upowszechniania czegoś, zachęcania, propagowania albo informowania — od Dni Ochrony Przeciwpowodzi do Dni Morza; wszystko to na Piotrkowskiej, więc pośrodku sceny „miejskiego teatru” ma największą szansę być zauważone. Taką ulicę lepiej jest może przyrównać do salonu lub klubu, w którym każdy przybysz może zaspokoić swoje potrzeby. Będzie to oczywiście salon całkowicie demokratyczny, nieznający w pojęciu jego klientów — kategorii „S. Jak na porządnym salonie przystało, jest tu również miejsce do odpoczynku. Rządziej po rzeczywistych trudach handlowej biogaminy, częściej po to, by przeżyć coś nowego, zaimponować własną obecność, podpatrywać lub samemu pokazać się. To chyba najsilniejsze motywy spędzania czasu w centrum, pośród anonimowego ale w rzeczywistości kierowanego tymi samymi pobudkami tłumy.

W salonie Piotrkowskiej rolę takiego „kompleksu wypoczynkowego” pełni aleja ZMP, usytuowana w sąsiedztwie centrum Łodzi. W latach 50-tych przebiegała ona w kierunku al. Kościuszki postarano się o odpowiednią oprawę. Bardzo szczęśliwie wypełniła rolę salony dawnego banku Goldfiedera (Piotrkowska 77) takim samym detalem, jak na elewacji frontowej. Pośrodku pasaży założono dywan kwiatowy i ulokowano znakomitą „parkową” rzeźbę naguski projektu Tadeusza Nowickiego. Z tyłu, od alei Kościuskiej zachowały się resztki ogrodu. 15 lat temu pasaż niemal bez reszty opasowany był przez młodzież. Niekiedy szukała tu ona godziwej rozrywki; najczęściej powiedziec, że była między sobą. Nie znano wtedy jeszcze dyskotek, a i klub był bardziej elitarny. „Skład społeczny” bywałców pasaży zmienił się dzisiaj wyraźnie. Przybyło emerytów z pensjami, ciekawskich dziewcząt bez konkretnych planów, plotkujących panów.

Ale jeszcze bardziej zmienia się odprawa architektoniczna. Od strony domu przy Piotrkowskiej 73 w narożniku pustej ściany założono monumentalną nimbę — reklamę Teatru Wielkiego. Pod nią od niedawna przybyła bateria automatów telefonicznych przykrytych złotymi daszkami. Wreszcie w głębi ciągnie się budowla niewątpliwie potrzebna, choć przecież banalna w formie kawiarnia. Obiekt, który nie da satysfakcji projektantom i użytkownikom uwłacza na razie honorowi budowlanych ze względu na ślimacze tempo robót. Kawiarnia nie otworzyła ani też nie zakończyła akcji inwestycyjnej w pasażu. Niedawno zamknięto budowę przybudówki na przedłużeniu elewacji „Słomka” — nadaje jej, co prawda, bardziej atrakcyjną niż zazwyczaj formę architektoniczną. Dla

potrzeb kawiarni zburzono część muru banku ogradzając go — nie mam innego określenia — prostokątnymi sztachetami. Różnicę terenu między ogrodzeniem przy kawiarni a powierzchnią pasaży zaznaczono murkiem z szkieletowej cegły, która zwykle kojarzy się z wielkim budownictwem inwentarskim. Dalej: elewację banku od strony pasaży pomalowano farbą emulsyjną na żółto. Trudno o coś bardziej irracjonalnego — fasada tego szacownego budynku projektowanego przez łódzkiego architekta Dawida Landego od początku po kres swojego istnienia miała być zachowana w naturalnym kolorze zaprawy i szarego tynku. I wreszcie najnowsza inwestycja: na wprost istniejącej przybudówki przy gmachu MPK pojawiło się ostatnio jej alter ego, niewyśoki ale gustowny obrzucony „barankiem” szarego tynku. Ma także wystające poza linię muru niszowe uszy bajkowego Płastusa mury w skosie także żelazne wrota skierowane prosto w twarz siedzącym ludziom.

Czas wyjaśnić, czemu służy ten drobiazgowy opis inwestycji w alei ZMP (z pominięciem nie ukończonej kawiarni). Jest to wyjątkowo dorodny okaz braku wyobraźni w postępowaniu na terenie elegancji niegdyś wycinka miejskiego salonu. Rzecz jasna — nie sposób kwestionować potrzeb wyposażenia śródmieścia w tak potrzebne urządzenia jak kawiarnia. Planisci postąpili jednak wobec pasaży — saloniku jakby to był pierwszy lepszy fragment miasta. To poważny błąd. Można było podpatrzyć, że musi (z konieczności) pełnić tę samą rolę, jak znany pasaż na Ścianie Wschodniej w Warszawie. Skoro tak, to nie należało dopuścić, aby budowniczy miał tak pospolitą formę, jeśli już nie można ich było ulokować gdzie indziej.

Dokonał się w ten sposób prawie całkowita (i trudno odwracalna) estetyczna degradacja pasaży, której — przy odrobinie wyobraźni, powtarzam — można było uniknąć. To już nie salon, a zagrane podwórko, jakich pełno w Łodzi. Może właśnie tu trzeba upatrywać przyczyn bezrobocia?

Wobec dokonanych faktów, który dla mnie przynajmniej jest oczywisty, tym bardziej musi niepokoić pytanie: co dalej z Łódzką Galerią Rzeźby rozlokowaną pośrodku pasaży? Gdy przed kilkoma laty zwrócono kwiatowy dywan pod eksponaty, przyszłość widziała dość optymistycznie. Jednak unikająca w skali kraju ekspozycja nie spełniła wszystkich oczekiwań. Co prawda tzw. upowszechnienie plastyki w tym ruchu, ale trudno upierać się dzisiaj, że galeria zajmuje ważną pozycję na liście łódzkich dokonanych „upowszechnień”. Może lepiej byłoby zamiast tradycyjnej kameralnej rzeźby ekspozycje — na wzór Elbląga — kompozycji o większej skali. Prowadzenie galerii (a więc wyszukiwanie sporej ilości mniejszych eksponatów, transport, ustawianie, częsta zmiana ekspozycji wreszcie nieduża ilość samych dzieł do wyboru) jest utrudnione z przyczyn obiektywnych. Powinno jednak problem „konceptyjnego oblicza Łódzkiej Galerii Rzeźby” i spróbujemy odpowiedzieć na pytanie: czy główna przyczyna niepełnego — powiedzmy ostrożnie — sukcesu

cesu galerii nie jest (zwłaszcza dzisiaj) jej otoczenie? Czy wypada zgodzić się na przymusową koegzystencję rzeźb z tym, co nazwano wyżej podwórkową graciarnią pasaży? Usiłowałem dopatrzyć się pozytywów w melancholijnym trawniku eksponatów pośród rozgardiaszu użytkowników aparatów wrzutowych i kurzu, jakiej podnoszą goniące się dzieci i pieski. Zbyt wiele dobrego naraz lub bardziej naukowo: zbyt duże funkcje zbiegły się w klasycznym pasaży, by nadal mógł z powodzeniem grać rolę poważnej galerii kameralnej rzeźby.

Na scenie „miejskiego teatru” najważniejsze są relacje między podmiotami — ludźmi; reszta jest zaledwie dekoracją. Zadanie dobrego projektanta działającego na wielkomięjskiej ulicy czy placu sprowadza się — w gruncie rzeczy, do wydobycia swego dzieła z anonimowego tł. nadania mu cech „podmiotowych”. Podobnie jest z projektowaniem pomników, czym zajmują się łącznie rzeźbiarze i urbanisci; chodzi o wyszukanie najkorzystniejszych relacji między rzeźbą a jej urbanistyczno-architektonicznym kontekstem. Gdy się to uda, istnieje pewność, że ukształtowany już ostatecznie fragment miasta będzie „przestrzenią kulturową”, w której ludzkie zachowanie się ma wiele cech zachowania w muzeum.

Istnieje moralny obowiązek, by przechodząc między rzeźbami, nie widzieć bezładne zgrupowanie rzeźb z galerią; by w jakiś sposób zaakcentować jej odrębność i pełnią rolę. Obecnie trudno chyba przekonywać do odwrotności — rzeźby z podziwianą rzeźbą pośród szarych murów. Tam, gdzie to powinno być — jak na salach ekspozycyjnych muzeów — całkowicie neutralne lub współgrać z rzeźbami, niefortunny inwestycje mają się jak przysłowiowy koń pod górą.

Proponuję więc przeniesienie galerii, konkretnie: do Parku im. Sienkiewicza albo do alei Schillera. Pierwszą lokalizację uważam nawet nieskromnie za lepszą. W parku mieści się już galeria malarstwa, a zieleni plus wielu odpowiadających stworzą właściwe dla rzeźby środowisko naturalne. Aleja Schillera także nie jest do pogardzenia: ma gęstą „Hortensję” przyciąga nieprzebrane tłumy, za to architektura jest na tyle neutralna, że nie stanowi dla eksponatów żadnej konkurencji. Koszty takiej przeprowadzki wydają się nieduże, a korzyści — na odwrót. W pasażu im. ZMP trzeba chyba zrehabilitować kwiatowy dywanik i postarać się go uporządkować. Bez wielkich nakładów, specjalnych opracowań itp. Niech będzie to po prostu solidnie wykonane i starannie utrzymane miejsce do posiedzenia na Piotrkowskiej, elegancki jak dawniej „kompleks wypoczynkowy”.

Przy jakiegokolwiek ingerencji wobec tzw. żywej tkanki miasta powinna obowiązywać najpierw prastara lekarska zasada: przede wszystkim nie szkodzić. Trzeci się o to tysiące projektantów na całym świecie. Jeśli galeria sztuki — to jak Centrum im. Pompidou w Paryżu czy Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Jeśli kasy PKO — to jak na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej w Warszawie. Oczywiście, kosztom dodatkowych nakładów i utrudnień, które jednak trzeba ponieść właśnie dlatego, że chodzi o centralne obszary miasta gdzie każdy obiekt pełni funkcję nie tylko użytkową. Materiały kształt centrum jest intensywnie, choć często nieświadomie „przeżywany” przez ludzi, którzy lubią w nim przebywać, bo robiono tu wszystko z myślą o takim akurat emocjonalnym odbiorze. Nie zawsze się to udaje, ale — zachowując proporcje — jeśli murek oporowy, to niekoniecznie z szilkami. Po to by stworzyć „tło” dla nie najlepszej architektury kawiarni nie trzeba było fałszować dobrej architektury banku przez ochlapanie farbą na żółto.



Foto: Jan Madejski i Zdzisław Walter

Z premedytacją dokonałem tu drobiazgowego studium przypadku, brak wyobraźni jest bowiem w Łodzi epidemiczny. Zaczyna niepokoić estetyczna przyszłość modernizacji całych kwartałów śródmiejskiej zabudowy, w pełni dzisiaj zrehabilitowanych pod względem architektonicznym watorów, żywych, wypełnionych emocjonalną treścią i nieścisłości, bezilośnie obnażających jednak

wszelkie braki wyobraźni. Jeśli bywa, że inwencji projektanta krepule brak obiektywnych możliwości realizacji pomysłu we właściwym miejscu, czasie, materiale czy za odpowiednią ceną — wyobraźnia winna podpowiedzieć jedynie rozsądne wyjście — poczekać inaczej coraz więcej modernizując będziemy wylewali dziecko razem z kąpielą.

RYSZARD BINKOWSKI

KRYPTONIM „RT” (D)

OD MAKU DO TORFU

1. Kielbik stwierdza bombastycznie, ale z ogromną szczerością, że kocha ziemię, bo to żywicielka narodu. Całe życie spędził na roli.

— Przystawię ucho do ziemi i słyszę, co mówi, czego jej potrzeba...

Nie wygląda na faceta, który kojarzy się zawsze z osobnikami, wnieśliem w fotel za biurkiem, obstawionym telefonami, palnikami i gratkami na wysoki polski. Ogorykali, kanciasty szeroki w barach, z długimi rekami, ubrany w zieloną koszulę, drelichowe spodnie i spłaszczony, wypylany beret, biega między zabudowaniami i nikomu nie pomyśli. Tęgo kłębnie w ramie, tego się poradzi, tamtego ochrzani, traktorzystów wyeksploduje gdzie trzeba, zajrzy do obory żeby brzoń Boże, byki nie były czasem głodne.

Franciszek Kielbik jest wiceprezesem Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Wiskitnie i jej pierwszym założycielem. Zakładał w lutym 1953 roku.

— Dwunastu członków wniosło pięćdziesiąt cztery hektary ziemi, dzierżawę po szkole rolniczej było trzydzieści hektarów. Ciekło było. Jedna krowa i dwadzieścia koni. Przy zapisie każdy miał dać dodatkowy wkład w nasionach, żeby na wiosnę było czym siać i sadzić. Jedni dali więcej, drudzy mniej i zostało do obsiania 9,5 ha. A kredytów brak. Zdecydowałem z Ludwikiem Grabowieckim, że zasiejemy mak, bo najmniej trzeba nasion. Józef Mikina pożyczył nam dziewięć kilo. Zmieszaliśmy to z suszonymi trocinami, dodałem trochę piasku i zasiałem. Panie, chciało mi się płakać z radości i całować ziemię, że była taka łaskawa. Bo ten mak podniósł nas na nogi. Udał się niezwykłe, zebrałmy około jedenastu ton. Podkoczyla dniówka,

w następne lata było już lepiej...

Urwał. Korzystając z tego zapamiętał:

— A jak jest teraz?

— Nie ma porównania. Jak dobrze policie, jeszcze w tym roku dniówka wyniesie sto osiemdziesiąt złotych.

Nie każde przedsiębiorstwo może zapewnić pracownikom takie zarobki. Jeśli wliczyć do nich działki przyzgodowe i inne dodatki w naturę, to powinno być naprawdę dobrze. Ale chociaż w głosie Kielbika wyczułem dumę, jego twarz nie wyrażała zadowolenia.

— Jest już tak, jak byćcie chcieli? — zapytał.

— Za blisko miasta. Nie, ludzie nie uciekają, towar też można łatwo sprzedać, ale jest inna sprawa. Ostatnio przejeżdżałem trzy gospodarstwa, jedenaście, pięć i sześć hektarów, jednakże są ogromne trudności z nabyciem ziemi drogą wykupu, czy przejęcia za rentę. Wprawdzie rysuje się kupno kilku gospodarstw w Bronisławie, ale ziemi włączamy za mało. Samo gospodarstwo wraz z zabudowaniami jest ścięzione ale ziemia porzucana w kawałkach...

Przypomniała mi się rozmowa z mieszkańcem Wiskitni. Widząc kawałki ziemi jak przyrośniętej, na której rosło coś, co z biedą mógłby wykorzystać „Herbapol”, zapytał go, czy ta planacja należy do spółdzielni.

— Skąd, tamci to gbałaj! A to należy do taksjara, który mieszka w Łodzi. Przeorał raz do roku, żeby nie było ugoru. Kolo ziemi spółdzielców jest jeszcze jeden taki kawałek, chyba że dwa hektary. Też taksjara z Łodzi. Wygląda na cyrka, albo obóz cygański. Facet ogroził, posadził parę drzewek, wstawił trzy odrapane kłoski i tak to sobie stoi... Ludzie to widzą, inspektorzy z wojewódzkiej służby rolnej nie zdążyli odkryć. Przez szybę samochodu trudno dostrożyć.

Wszystko się przekreśliło do góry no-

gami. Ludzie bali się kołchozu, jak ognia, nikt nie chciał ziemi, teraz jej brakuje. W późniejszej rozmowie, przez spółdzielni, mgr inż. Stanisław Kostrzewa, oświadczył:

— W końcu roku było 43 członków, dzisiaj jest ich 105.

Dłaczego przedtem nie chcieli przychodzić?

Przyznaje z zainewowaniem, że w dół ciągnęli ich... szklarnie. To było coś strasznego. Pięć tysięcy siedemset metrów kwadratowych pod szklarnie. I deficyt. Brakowało fachowców. Nauczyciele z Technikum Ogrodniczego w Wiskitnie mówili absolutnie: — Do Wiskitni nie chodźcie, tam słabe ogrodnictwo.

W kwietniu ubiegłego roku przyszedł mgr Marek Wielewski. Młody. Może nie gniemy, ale na pewno ambitny i zapalczywy. No, i przystojny. Mówiąc, że kobiety go słuchały. A inni, też żartem, że jak ruszył gronnie sumiastym wosem, to robota poszła.

— Było trochę „do tyłu”. Miałem ambicję, żeby zniszczyć złe opinie o Wiskitnie i ściągnąć tu młodych fachowców. Bo tutaj 1,5 kg pomidorów z metra kwadratowego zamiast 10 kg. Badylarz był się z rozpaczny powiesił. A wszystko przez złą dezynfekcję ziemi. Od cholery różnych pasożytów i szkodliwych drobnookrzusów. Skonsumowałem się z Instytutem Warszawy w Skierkowiecach i zacząłem gazowanie ziemi bromkiem metylu. Wymieniłem starą, nawiozłem torfu, przeparałem i efekty widział.

Po pierwszym półroczu szklarnie dały 380 tys. zł zysku.

Uśmiech znikł z twarzy. Trzeba się ująć z nimi i dać. Technicy pracują jako fizycyści nie tylko w szklarniach, ale i w warsztatach. Kostrzewa mówił, że

Wielawski za dwa lata da dwa miliony zysku. Cemu nie? Ruszy kotłownia, będzie para do dezynfekcji, wszystkie szklarnie staną się „cieple”. Różne pójda jak ziarno, goździki, gerbery.

Mają warzywa szklarniowe i gruntowe, kwiaty i 50 ha sadu. Każmierczak jest świetnym sadownikiem, ale Wielawski go też ciągnie do sadu.

— Młody, intensywny sad jabłoniowy. W międzyrzędziach uprawia się jeszcze warzywa, ale to cholerna męczarnia ze względu na opryski drzew. W przyszłym roku trzeba skoszyć z warzywami, bo sad da już 100 ton owoców, a przy pełnej produktywności 1000 ton. Musimy śpieszyć się z budową przechowalni, jeżeli chcemy wysłać jabłka na eksport w pięknie paczkowanej folii.

— W Warszawie robią dokumentację — dodaje Kostrzewa. — Koszt około 20 milionów. W przyszłym roku trzeba zacząć budowę...

No, pewnie, sad nie będzie czekał...

Kielbik, z wieloletnim doświadczeniem i gospodarskim zacięciem, Kostrzewa — ze studiami, praktyką i odwagą oraz Wielawski ze swoją młodocia i ambicją, to gwarancja sukcesu. Ale, kiedy ma się mało ziemi, nikt nie dokona cudu i spółdzielnia musi być „wielobranowa”. Zeby ludzie mogli zarobić.

Jest broilernia. W jednym rzucie, po 8-9 tygodniach dała 18 tys. kurczaków o wadze 1,5 kg. W ciągu roku pięć takich rzutów...

No, i własna wytwórnia koncentratu mącznikowo-mineralnego. Mały zapas leży w workach po sałetrze amonowej.

— Opakowanie zastępcze — wyłuska kłownik wytwórni, Wiesław Krzyszkowski.

— Brakuje worków.

— Takie duże zapotrzebowanie?

— Możemy wyprodukować 1000 ton rocznie przy jednej zmianie. Zapotrzebowanie jest trzykrotnie większe.

— Mimo ceny 1100 zł za kwintal?

— Jest koncentrat mącznikowo-skrobiowy, ale o mniejszej wartości odżywczej. Nasz zawiera ponad 90 proc. suchej masy: 40 proc. śrutu jęczmiennego, 34 proc. mącznika paszowego oraz 26 proc. bogatych soli mineralnych. W skład tych ostatnich wchodzi również sól pastwana (5 proc.), ale dodajemy kuchenną, bo nie można się dogadać z kopalnią w Kłodawie. Chcemy dostarczać luzem, a to jest zważanie z transportem i przeladunkiem...

Krzyszkowski jest za rozbudową wytwórni, ale oni mają w planie budowę hydroforu, bukiarni na 300 sztuk, zaplecze energetyczne, mieszalnię pasz (susze i zielonki), pozyskanie ziemi w roku 1980 do 100 ha, no, i sprawę wyglądu estetycznego i zaplecza socjalnego, bo ludzie nie mają się gdzie ugnieć i przebrać.

— Mamą oborę pod kontrolą użytkowości — mówi Kostrzewa. — Przy udziale asystent z Okręgowej Stacji Oceny Zwierząt, pobiera próbę na tłuszcz, która wynosi 5-8 proc. W zlewali w Wiskitnie jest zaledwie 3,5 proc.

— Tuszcz ginie w drodze?

— Trzeba będzie komisynie zrobić próbę i zawieźć do stacji. Sprawa jest ważna, ponieważ mamy 32 krowy dojne. Wydajność była niska, poniżej 2 tys. litrów rocznie, ale dzięki selekcji i racjonalnemu żywieniu, podnieśliśmy ją już do ponad 2,5 tys. litrów...

Zaraz, zaraz! — przerywa mu, bo nagłe przypomniał sobie ich utykające na brak ziemi. — Ile wy macie tego bydła?

— Razem 173 sztuki.

— A ile ziemi?

— Orne 19 ha. Zadnych pastwisk i łąk.

— Tęgo jeszcze w kraju nie było. Takiej obsady bydła na 19 ha.

Szeroka, otwarta twarz Kostrzewy, promienieje uśmiechem, w oczach zagadkowe błyski.

— Wiedziałem, że do tego dojdziemy. Dzięki fantastycznemu pomysłowi inżyniera Frontczaka mamy bogactwo własnej paszy. Nazywa się to „RT”. Można nią wykarmić dodatkowo setki tysięcy sztuk bydła w kraju. Skorzysta z niej również cały świat, bo jest to pasza... z torfu...

— Właśnie idzie do pana inżyniera Frontczaka — powiedziała pani z biura. Zobaczyłem teko pochylonego męczącego w drelichu i białej czapce i wyszedłem mu na spotkanie.

— Rewelacja — powiedziałem nieco oszołomiony.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Tak — bakał — ale ciesz. Wie pan, gdybym nie był „kołchoźnikiem”, tylko „instytutem”, byłoby już głośno w świecie...

Co się z tym kryje? Kim jest człowiek, którego pomysł może w znacznym stopniu rozwiązać problem żywienia?

O tym w następnych numerach.



Foto: Archiwum

JAN POWAŁA

DEMONSTRACJA SIŁY

W ostatnich dniach maja br. obradował w Waszyngtonie szczyt NATO. Odbył się on w kulminacyjnym momencie narastających tam ataków na odprężenie, kampanii propagandowej o „zagrożeniu” ze strony państw Układu Warszawskiego. Zarówno przebieg waszyngtońskiego spotkania, jak również wystąpienie prezydenta Cartera jednoznacznie można ocenić jako próbę powrotu do zimnej wojny. Postanowiono w dalszym ciągu kontynuować wysiłki zbrojeniowe i w ciągu najbliższych piętnastu lat przeznaczyć na cele wojskowe dodatkowo 80 mld dolarów. Ten wzrost wydatków przyjęto w czasie, gdy w Nowym Jorku, na sesji rozbrojeniowej, przedstawiciele państw zachodnich wiele mówili o potrzebie rozbrojenia.

Zapowiedź dalszego forsowania wysiłku zbrojeniowego znajduje swoje potwierdzenie w praktycznej działalności państw Paktu Północnoatlantyckiego. Szczególną rolę w tej działalności odgrywają Stany Zjednoczone. 5 sierpnia w Norfolk, w stanie Wirginia, wodowano krążownik „Mississippi” o napędzie atomowym. Biorący udział w tej uroczystości prezydent Carter wygłosił przemówienie, które miało charakter wręcz programowy. Zapowiedział on m. in., że Stany Zjednoczone będą utrzymywać siły lądowe i morskie, które nie będą miały sobie równych. Wskazując prowadzące do tego celu środki, zapowiedział kontynuowanie prac nad modernizacją pocisków balistycznych wyrzeliwanych z okrętów podwodnych. Oświadczył także, iż system broni strategicznych będzie wspierany środkami konwencjonalnymi.

Postanowiono również zwiększyć budżet na cele militarne w kolejnym roku finansowym. Projekt tego budżetu jest o 9,4 mld dolarów wyższy od budżetu realizowanego w roku bieżącym i osiągnie najwyższą w dziejach Stanów Zjednoczonych kwotę 126 mld dolarów. Warto przypomnieć, iż w roku 1945 budżet wojskowy USA zamykał się kwotą 12 mld dolarów. W proponowanym przez administrację Cartera budżecie przewiduje się, m. in., wybudowanie 15 nowych okrętów, 8 fregat wyposażonych w wyrzutnie kierowanych pocisków balistycznych oraz 5 innych jednostek pomocniczych. Znaczną sumę przeznaczono na badania pocisków Cruise, wyrzeliwanych z okrętów podwodnych oraz na wyprodukowanie wersji tegoż pocisku przeznaczonej do wyrzeliwania z samolotów i z wyrzutni na ziemi. Podano także do publicznej wiadomości, iż siły morskie USA przeformowały ostatecznie w Senacie projekt budowy jeszcze jednego lotniskowca uderzeniowego z silownią atomową.

Niezależnie od tych militarnych i niebezpiecznych dla pokoju poczynań, rząd Stanów Zjednoczonych zdecydował się przekazać jeszcze w tym roku wszystkim państwom NATO samoloty wyposażone w urządzenia do wczesnego ostrzegania i dalekiego rozpoznawania AWACS. Bazować one będą na terenie Turcji, Włoch, RFN, Norwegii i Islandii.

W odpowiedzi na apel kwatery głównej NATO szereg decyzji o charakterze militarnym podjął rząd RFN. Postanowił on, m. in., zakupić w

Stanach Zjednoczonych 15 tysięcy kierowanych przeciwpancernych pocisków rakietowych „TOW”. Liczbę tę uznano za niezbędną dla Bundeswehry. Koszt zamówienia wynosi około 180 mln marek. Minister obrony RFN Apel oświadczył, że 40 mld marek zostanie przeznaczonych na zakup i produkcję innych rodzajów uzbrojenia i sprzętu bojowego dla Bundeswehry. Program zakupów zostanie zrealizowany do połowy lat osiemdziesiątych i obejmie m. in. 1.800 czołgów „Leopard 2”, 432 samobieżne działa przeciwlotnicze „Gepard”, 140 rakietowych kompleksów przeciwlotniczych „Roland”, 6 fregat oraz 10 kutrów rakietowych typu „143A”.

Ogromne sumy na zbrojenia przeznacza także rząd japoński. W bieżącym roku budżetowym rozpoczął on realizację kolejnego, piątego już planu rozbudowy swych sił zbrojnych, przewidzianego do 1982 r. W okresie tym japoński przemysł zbrojeniowy ma w 90 proc. zabezpieczyć wszelkie potrzeby i zamówienia ministerstwa obrony. Pochłonie to ponad 50 mld dolarów, co oznacza 2,5-krotny wzrost w stosunku do ubiegłej pięcioletki. Tym samym Japonia znajduje się w czołówce państw kapitalistycznych, przeznaczających ogromne sumy na cele militarne. Warto zaznaczyć, że dzieje się to w kraju, który ma konstytucyjnie zawarty zakaz wojny „po wieczne czasy”, i który przeżył tragedię Hiroshimy i Nagasaki.

Przejawem demonstracji siły państw NATO są ćwiczenia wojskowe. Z roku na rok liczba ich wzrasta, przy czym w ostatnich latach są one prowadzone szczególnie intensywnie. W roku ubiegłym siły zbrojne Paktu Północnoatlantyckiego demonstrowały swą sprawność w różnych ćwiczeniach, m. in. „Jesienna Kuźnia 77”. Z oficjalnych wyliczeń dowództwa NATO wynika, iż 11 razy ćwiczenia z tego cyklu prowadzono na północnoeuropejskim, 11 na centralnoeuropejskim i 7 na południowo-europejskim teatrze działań wojennych.

Wyjątkowo demonstracyjny charakter mają ćwiczenia wojsk NATO w roku bieżącym. Ich liczba oraz ilość zaangażowanych wojsk i sprzętu bojowego musi budzić poważny niepokój. Na Morzu Północnym i Skagerraku odbyły się już pierwsze ćwiczenia jednostek morskich i lotniczych NATO. Tematem było współdziałanie i wysadzanie desantu. To ostatnie zaprezentowano w wykonaniu wojsk holenderskich i Bundeswehry.

W końcu czerwca siły morskie NATO rozpoczęły w pobliżu wybrzeży Norwegii północnej swe kolejne ćwiczenia. Uczestniczą w nich okręty Stanów Zjednoczonych, Kanady, Anglii, Holandii, Norwegii, RFN i Portugalii. Siły powietrzne NATO kontynuują jedne z największych ćwiczeń taktycznych na terytorium RFN. W pierwszej fazie tych ćwiczeń brało udział około tysiąca samolotów z 8 państw.

W roku bieżącym szczególnie dużo ćwiczeń prowadzono i planuje się dalej prowadzić na terytorium RFN. Terytorium tego państwa było tere-

nem szeroko zakrojonych ćwiczeń Bundeswehry w pierwszej połowie czerwca, zakodowanych jako „Sionko Majowe”. Kluczowym zadaniem ćwiczących wojsk, w skład których weszła Bundeswehra, oddziały brytyjskie, belgijskie i amerykańskie było doskonalenie przeprawy wojsk i ciężkiego sprzętu przez Ren w warunkach działań bojowych. Poważna liczba wojsk zachodniemieckich i nатовskich wzięła udział w innych ćwiczeniach na terenie RFN nazwanych „Forte 78”.

Na terytorium RFN są coraz częściej wypróbowywane nowe rodzaje broni, wzrasta także ilość sprzętu bojowego z innych państw NATO. W najbliższym czasie na poligonie specjalnym w pobliżu Hammelburga rozpocznie się seria prób kontroinwazyjnych z nowymi typami uzbrojenia strzeleckiego, wyprodukowanego ostatnio przez państwa członkowskie.

Rzecznik Ministerstwa Obrony RFN poinformował, iż w najbliższym czasie siły powietrzne Stanów Zjednoczonych przetrząca do RFN ponad 100 samolotów różnych typów. Będą one uczestniczyły w różnych ćwiczeniach Bundeswehry, prowadzonych na poligonach RFN. Z informacji dowódcy Bundeswehry wynika, iż do tej pory w RFN przekazano na potrzeby jednostek RAF, stacjonujących w Niemczech zachodnich, 112 specjalnych żelazobetonowych ukryć dla samolotów.

Trwa nieprzerwanie wyposażanie lotnictwa Bundesmarine w nowy sprzęt bojowy. Otrzymało ono już dostawę — 350 pocisków rakietowych „Kormoran” z produkcji seryjnej. Wyposażono je także w 56 urządzeń startowych, montowanych na samolotach. Pociski te są owocem koprodukcji RFN i Francji. Zostały one w roku ubiegłym praktycznie sprawdzone na francuskim poligonie Casaux. Mają one służyć do niszczenia celów nawodnych w odległości do 40 km.

W dowództwach i sztabach sił zbrojnych NATO trwają intensywne

przygotowania do wielkiej demonstracji militarnej w postaci całej serii manewrów i ćwiczeń, które będą realizowane pod kryptonimem „Jesienna Kuźnia — 78”. Już teraz wiadomo, że będzie tych ćwiczeń ponad 30 i przynajmniej dziesięć z nich zostanie przeprowadzonych na terytorium RFN. Przez prawie trzy miesiące ponad 200 tys. żołnierzy Paktu Północnoatlantyckiego, w stanie pełnej gotowości, będzie się znajdować w bojowym ruchu, symulując przy tym najczęściej zdolność do wykonania natychmiastowego ataku na przeciwnika, którym — czego sztaby NATO wcale nie ukrywają — są państwa Układu Warszawskiego.

Biorąc pod uwagę obowiązującą w NATO koncepcję strategii wysuniętej maksymalnie na wschód, można się domyślać, że wśród ćwiczebnych zamiarów będą i takie, które aplikacyjnie założą odpowiednio uprzedzając i wybiegając w kierunku wschodnim uderzenia. Dlatego też wiele rejonów ćwiczeń znajduje się w pobliżu granic z państwami Układu Warszawskiego i traktowane one będą jako ewentualne rejonu wyjściowe do operacji zaczepnych.

Liczba ponad 200 tys. żołnierzy, uczestniczących bez przerwy w różnych ćwiczeniach, mówi za siebie. Oni, wraz ze sprzętem i z nowoczesną techniką bojową, mają demonstrować siłę, wywierać psychologiczny nacisk nie tylko na społeczeństwa państw NATO, ale także na kraje socjalistyczne.

Serie wielkich manewrów rozpoczęła Amerykancie przetrząciem do Europy około 14 tys. żołnierzy i prawie 40 tys. ton sprzętu. Wojska USA będą lądować na lotniskach w RFN, a sprzęt zostanie wydładowany w Belgii i Holandii. Rząd amerykański chce udowodnić, że poważnie traktuje swoje militarne zobowiązania wobec europejskich sojuszników, żądając od nich w zamian odpowiednio większych wydatków na zbrojenia. W przygotowywanych ćwiczeniach zakłada się przetrzącenie do Europy znacznych sił amerykańskich. W ciągu trzech tygodni planuje się przetrząść około 200 tys. żołnierzy. Z tym wiąże się sprawa transportu przez Atlantyk sprzętu ciężkiego. Dlatego też w ćwiczeniach kładzie się nacisk na transport drogą morską i wykorzystania portów belgijskich i holenderskich. Stany Zjednoczone zamierzają przetrząść do Europy i zmagazynować ciężki sprzęt dla dodatkowych trzech dywizji.

Podobnie jak w latach poprzednich, również w obecnych ćwiczeniach, odpowiednio do pozycji w NATO zaprezentuje się Bundeswehra. Jej główny pokaz będzie przebiegał w ramach wielkich manewrów pod kryptonimem „Bezpieczna Tarcza”. Weźmie w nich udział około 60 tys. żołnierzy. Poważny udział Bundeswehry zapowiadany jest w manewrach „Bold Guard”.

W sumie więc, od września, obszar prawie całej zachodniej Europy, zostanie objęty zwiększoną aktywnością militarną sił zbrojnych NATO. Sztabowcy tego agresywnego bloku nie ukrywają zadowolenia z faktu, że ćwiczenia będą przebiegać od północy Norwegii do Morza Śródziemnego.

Demonstracje militarne NATO stały się jednym ze sposobów służących wytwarzaniu atmosfery rzekomego zagrożenia i chętnie stosowane są przez kółka zimnowojenne. Każda tego rodzaju demonstracja — siły czy słabości — jest pomyślana jako przeciwdziałanie odprężeniu, jest jednym z licznych dowodów utrzymujących się aktywności sił temu procesowi wrogich.

Na skutek wysiłku zbrojeń i ciągłych demonstracji militarnych państw NATO, kraje socjalistyczne zmuszone są przeznaczać odpowiednie środki na umocnienie swej obronności, zabezpieczenie pokojowej pracy własnych narodów i utrzymanie gotowości bojowej swych sił zbrojnych, mając przede wszystkim na względzie zabezpieczenie pokoju i bezpieczeństwa.

HANS BAUR — PILOT DES FUHRERS

Burmistrz miasta Ulm w RFN Peter Biehl znalazł się w nielada kłopotach. Kogo zaprosić na uroczystości związane z osobą Hermanna Köhla, jednego z pionierów niemieckiego lotnictwa? Zaprosić wszystkich znanych i żyjących jeszcze asów lotniczych, czy może dawnych hitlerowskich pilotów w zaproszeniu pominąć? Długo burmistrz pochylał w zadumie głowę nad „Gästeliste”. W końcu znalazł się na niej nazwiska ludzi, którzy kojarzą się z najczarniejszym okresem w historii tego kontynentu.

Hermann Köhl był pierwszym pilotem, który przed półwiekiem przeleciał Atlantyk ze wschodu na zachód, zatem z Europy do Ameryki. Dokonał tego wyczynu wspólnie z baronem von Hünefeld oraz irlandzkim majorem Fitzmauricem. Dużo więc było w Ulm jublu wokół Köhla, jako że ten pilot w Ulm przyszedł na świat i został honorowym tego miasta obywatelem. Łatwo sobie wyobrazić szpalera co bardziej utytułowanych gości wyciągniętych jak struny na cmentarzu na Pfaffenhofen, gdzie Köhl spoczywa.

W ogóle tłum walił na cmentarz wielki i to z różnych powodów. Na warcie honorowej przy grobie Köhla stanęła Elly Beinhorn, która przela tywała ongiś maleńkim samolotem nad największymi pustyniami. Ale nie ona budziła wśród tysięcy zainteresowanych największe. Co tam Elly Beinhorn, przecież obok niej wyprężyła się Hanna Reitsch udekorowana osobnicie przez Hitlera Krzyżem Żelaznym I i II klasy. Trzymała ją pod ramie nie kto inny, tylko generał Trautloff. Dowodzeni przez niego piloci zameldowali führerowi już w 1943 roku o zestrzeleniu czterech tysięcy nieprzyjacielskich samolotów. Głównie na froncie wschodnim. A ten wysoki pan o twardym bankiera na emeryturze, czy to aby nie sam Adolf Galland „General der Jagdflieger” Trzeciej Rzeszy? Tak, to on, oczywiście. A przy nim przysła pierś lśnawą i starszy już mocno pan w okularach. To Hans Baur przyboczny pilot Hitlera. Wszyscy spoglądali głównie na Baura, to ten, quack mal, co był jednym z najbliższych przyjaciół führera...

Przybył na cmentarz dziennikarzom nie uszło, że to wokół Baura tworzył się największy tłok, to przy nim ustawiała się długa kolejka młodych ludzi z prośbą o autografy. Baur był w Ulm fetowany, oklaskiwany, to na jego cześć wznoszono chóralskie okrzyki. Starszy pan kiwał w podziękowaniu. W jego oczach na moment pojawiły się nawet łzy. Szkoda, że tego führer nie widział bo wyglądało to na to, że jego testament skrupulatnie przez tych młodych ludzi jest wypełniany.

Rzeczywiście Fürth wyrasta na jeden z bastionów neohitlerizmu. To w tym mieście leżącym u bram Norymbergi neonaziści zbyszczęśli synagogę, porozwalali kamienie nagrobne na żydowskim cmentarzu i wymalowali potężnych rozmiarów hakenkreuze na żydowskich sklepach i na żydowskich domach. Zupenie to powiało dniami, kiedy to w pobliskiej Norymberdze Hitler i jego palatyni odbywali swoje „Parteiitage”. To w Bawarii zresztą najczęściej tęskni się za „kimś silnym i władczym”, za jednostką pełną „autorytetu”, która, jak dawniej Hitler, zrobiłaby porządek w państwie, a przede wszystkim przepędziła przeklętych „gastarbeiterów” do wszystkich diabłów. Ład i porządek... tak jest, to jest potrzebne, jednak „im Dritten Reich” żadnego terrorizmu nie było...

Hans Baur uśmiechał się do młodzieży i rozdawał autografy. Był znowu kimś. I to po tylu latach zapomnienia. Znowu był na wierzchu. To ogromnie „zasłużony” dla hitlerowskiego ruchu bojowiec. Związał się z Hitlerem i hitlerowską partią jako jeden z pierwszych już w 1921 roku. Od tego czasu Hitlera nie odstępował. To on pilotował maszynę führera w okresie walk wyborczych. On był „Chefpilotem” führera w latach wojny. Nigdy się hitleryzmu nie wyrzekł. Nigdy z tego słowa na swego pana nie powiedział. Na cmentarzu w Ulm, przy grobie Köhla, rozdawał autografy zawsze z tym samym napisem: „Hans Baur — Pilot des Führers”. Po te autografy stały przedkłada kolejki młodych głównie ludzi.

Zapytano burmistrza Biehla jak mógł dopuścić do takiego złotu hitlerowskich asów lotniczych w mieście Ulm.

Burmistrz Biehl tak na to odrzekł: — Nie mogłem tych ludzi z listy poskreślać. Przecież nawet ci najwyżsi dostojnicy w naszym państwie upominają „uns künftig der Tapferkeit unserer Soldaten im Zweiten Welt — krieg nicht mehr zu schämen...” byśmy się już dłużej nie wstydzili bohaterstwa naszych żołnierzy w drugiej wojnie światowej...

JAN BABIŃSKI

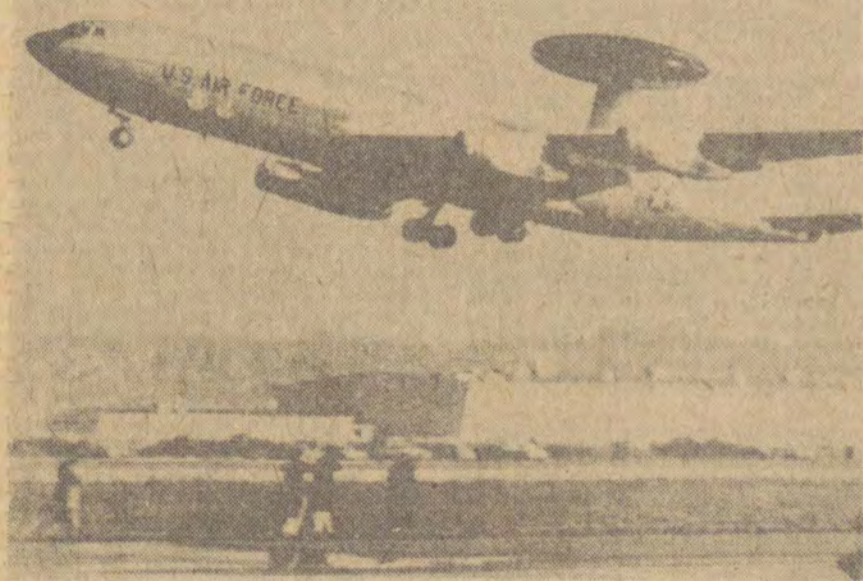


Foto: Archiwum



TAMTE TRAGICZNE DNI...

Dalszy ciąg ze str. 1

— Znow zaczęły się rozmowy, dyskusje. Co będzie dalej? Jakie są nasze szanse? Jak długo będzie trwała ta wojna, jaki będzie jej przebieg?

RADIO MUSIAŁO PRACOWAĆ

— Ja akurat zajmowałem się sprawozdawczością, zbieraniem i opracowywaniem informacji o aktualnych wydarzeniach. Musiałem więc być blisko wszystkich najważniejszych wydarzeń, rejestrować i komentować wszystko. Zgłosiłem do inż. Gawrońskiego pewien projekt. Chciałem, by na jakimś wagonie kolejowym zainstalować aparaturę nagrywającą Neumanna, do nagrań na „milkach” płytach. Można by było wtedy jeździć i nagrywać reportaże o przebiegu wojny, w terenie. Taki mój pomysł, chciałem robić takie historyczne pamiatki z wojny, bo przecież nadarzała się wyjątkowa okazja. Ale Wacek Gawroński nie podzielał mojego zapału, bardzo trzeźwo oceniał sytuację. Gdy molestowałem go o tę aparaturę, bo się uparłem, by robić „historyczne pamiatki”, najpierw grzecznie spokojnie oponował, tłumaczył, perswadował, ale gdy to nie pomagało, wreszcie setnie mnie skłonił. Powiedział, że jeszcze nie zwariował, by dla mojej przyjemności, dla moich reporterskich zachcianek narażać cenną aparaturę i co ważniejsze, życie ludzi ją obsługujących. Tak więc mój projekt nie przeszedł.

— Ale Jadzia Cedrowska, jeszcze obecnie nasza spikerka miała samochód. Jeździliśmy więc po Łodzi tym samochodem, zbieraliśmy materiały, przygotowywaliśmy audycje. Było na przykład bombardowanie Dworca Kaliskiego, pojechaliśmy tam. Zrobiliśmy reportaż, który potem nadaliśmy u nas w radio. Robiliśmy wiele innych reportaży, audycji, materiałów, informacji o przebiegu wydarzeń, o tym wszystkim, co działo się tutaj w pierwszych godzinach, pierwszych dniach wojny.

— Oczywiście zapraszaliśmy także do naszej rozgłośni różnych dygnitarzy, oficjeli, wyższych urzędników, działaczy, wszystkich, którzy mogli coś ważnego powiedzieć na temat wojny, dokonać analizy sytuacji, komentarzy.

— Zdarzył się wtedy ciekawy wypadek! W tamtym czasie współpracował z nami znany komunista, działacz lewicowy poeta i prozaik Antoni Kasprzowicz. Tuż przed wybuchem wojny został aresztowany za swoją działalność. Ten człowiek był nam bardzo potrzebny, musieliśmy go bronić! Ja wtedy zatelefonowałem do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, do naczelnika Wrócy, z żądaniem natychmiastowego zwolnienia naszego współpracownika. Po trzech dniach Kasprzowicz został zwolniony z aresztu, mógł do nas wrócić.

— Wojna rozgorzała, ale nasze nastroje na początku nie były najgorsze. Jeszcze był w nas ten bojowy duch, ten pełny optymizm, choć z frontu docierały do nas coraz gorsze wieści. Ale nie zważaliśmy na to, nie było czasu się martwić, bo radio musiało pracować normalnie...

EWAKUACJA

— Wytrzymałszy tak trzy dni, ale front przesuwał się szybko. Wiadomości z frontu były coraz gorsze, coraz bardziej niepokojące. 4 września, w południe, siedzieliśmy w rozgłośni, w gabinecie inż. Gawrońskiego. Analizowaliśmy szybko zmieniającą się sytuację wojenną. W pewnym momencie zadzwonił telefon, prosił go dyr. Nowakowski. Dyrektor podszedł do telefonu podniósł słuchawkę. Rozmowa była krótka. Styszelśmy tylko, jak dyr. Nowakowski powtórzył parę razy kilka tych samych słów: — Tak jest, panie starosto... tak... tak jest... dobrze... tak... do widzenia!

Domyśliłszy się, że stało się coś ważnego! Nie myliliśmy się. Dyrektor poprosił nas do swojego gabinetu, na naradę. Kiedy już zebrał się tam, on i jego, powiedział nam krótko: — Panowie, ewakuacja! — Był to dla nas prawdziwy wstrząs.

Dyr. Nowakowski otworzył kasę pancerną, wydobyl teczkę z planami MOP, przygotowanymi wcześniej na wypadek wojny. Plany te przewidywały, że w razie konieczności ewakuacji należy zwrócić się do starosty po samochód, następnie zdemontować radiostację, zabrać najcenniejsze części na samochód resztę zniszczyć. Po wykonaniu tego zadania ewakuować się — kierunek Warszawa!

Ponieważ mieliśmy dostać samochód, zatelefonowałem do domu polecając żonie, by przygotowała nasze podrózne nesesery zabierając tylko to co najbardziej potrzebne. Właśnie tylko niewielki, podręczny bagaż, bo byłem głęboko przekonany, że po wszystkim długo nie potrwa, że po kilku dniach wrócimy do Łodzi. Mimo wszystko, jeszcze byłem wielkim optymistą.

Mnie akurat wypadło udać się do starosty po ten samochód. Do starostwa, na ulicę Kilińskiego, tam gdzie już po wojnie mieściła się Komenda Wojewódzka MO zawiadziłem moim samochodem małym „Fiatem” inż. Gawroński. Pan starosta Mostowski był mocno zdenerwowany. Przechadzał się po gabinecie, w wysokich butach, bijąc szpicrutą po cholewach. Przywitał się, wyjaśnił powód mojej wizyty. Starosta nie nie wiedział, co przewidują plany MOP na wypadek naszej ewakuacji. Kiedy poprosiłem o samochód który nam się należał, wybuchnął:

— Panie, czy pan zwariował? Skąd ja wam wytrzaszę samochód, kiedy

sam nie mam? Widzi pan, ja sam muszę spalić całe stopy dokumentów, papierów wartościowych, bo nie mam ich czym wywieźć! Ja sam nie mam samochodu, a co dopiero jeszcze dla kogoś!

Natychmiast ze starostwa zatelefonowałem do dyr. Nowakowskiego i zawiadomiłem go, jak wygląda sytuacja. Dyrektor nakazał mi wracać. W międzyczasie dostał z Warszawy polecenie, by w przypadku braku środków transportu zabrać z rozgłośni wszystkie najcenniejsze rzeczy do podręcznego bagażu i pieszo iść do Warszawy!

Byłem wściekły, zdenerwowany się do ostatka. Taki bałagan w takiej krytycznej chwili! Piechota do Warszawy, z radiostacją na plecach! Taka miała być ta ewakuacja! Po raz pierwszy wtedy zważyłem na to, że nasza się, zwartość, gotowość. Zaczęła się zastanawiać, jak to będzie naprawdę z tą wojną? Czy i jak można wygrać wojnę przy takim bezładzie organizacyjnym, przy takim bałaganie?

Kiedy wróciłem do starosty, najpierw musiałem zawiadomić żonę, że nie dostaliśmy samochodu, w związku z czym do Warszawy udaje się sam, bez niej. Ja musiałem jechać, ewakuować rozgłośnię, bo byłem przecież pracownikiem radia, ale ona mogła pozostać w domu. Tak też się stało.

Po demontażu radiostacji, po zabraniu wszystkich wartościowych rzeczy, na własne plecy, wyruszyliśmy w drogę, prawie cała obsada Łódzkiej Rozgłośni.

DO WARSZAWY

Wyruszyliśmy późnym wieczorem, około godziny 23. Na szosie brzezińskiej było już pełno ludzi, furmanki, wyładowane różnym dobytkiem, przywiązane do nich zwierzęta domowe. Tabory wojskowe. Tak szliśmy w tym tłumie płynącym nieprzerwanie jak rzeka. Tak szliśmy do godziny 2 w nocy...

Obok nas przejeżdżały tabory wojskowe 28 Pułku Strzelców Kaniowskich. W pewnej chwili, w jednym z dowódców, który jechał na koniu, rozpoznałem dawnego znajomego, mojego byłego ucznia. Kiedyś byłem nauczycielem w gimnazjum i seminarium nauczycielskim, zanim zająłem się dziennikarstwem i zacząłem pracę w radiu. Poznałem Gienia Ornyńskiego, jadącego obok jakiegoś wozu. Podszedłem do niego ucieczony: — Gieniu, bardzo się cieszę, że jesteś tu dowódcą, że cię spotykam! Jestem bardzo zmęczony, dosiade do was, podjadę choć kawalek! — A on na to: — Dobrze panie profesorze, ale ja tu wiozę w tych skrzyniach granaty! Wiele jak pan chce, jak pan się nie boi, to proszę bardzo... — Byłem jednak tak zmęczony, że było mi absolutnie wszystko jedno granaty, nie granaty, było jakoby leżało...

O świcie dojechaliśmy do Jeżowa. Droga była coraz bardziej niebezpieczna. W Jeżowie właśnie trafił nas

nalot, bardzo ciężki nalot. Cała szosa brzezińska została ułniana trupami, ludźmi, zwierzętami, wózami mnóstwo porożbitych furmanek, taborów! Przeczekałmy nalot w przydrożnym rowie, jakoś udało nam się uciec z życiem. Ale dalej jechać na tych skrzyniach z granatami już nie było odwagi.

Trzeba było jednak jakoś dostać się do Warszawy, nie było rady! Był akurat wtedy przy mnie goniec z naszej rozgłośni, Józef Młynarski, notabene po wojnie dyrektor administracji Rozgłośni Łódzkiej. Nazywaliśmy go „Ulan”. To był bardzo przedsiębiorczy człowiek, znakomity organizator. Otóż on zauważył stojącą na uboczu bezpańska furmankę, dwa koła, nie miała boków, tylko jedna deska między kołami. Ale przecież można było jakoś na tym jechać. Wzięliśmy więc tę furmankę, „Ulan” był za woźnicę, a ja pasażerem.

Tak jechaliśmy do Skierniewic. Tam znow nalot, znow rozbite tabory, mnóstwo zabitych. W Skierniewicach zrezygnowałem z furmanki, miałem już dość tej jazdy pod bombami. Woląłem dalej iść pieszo.

Wieczorem dotarliśmy do Mszczonowa, wyczerpani do ostatka. Tam już był rwetes, mnóstwo uciekających ludzi, zatłoczone drogi, ogromny chaos! Żandarmeria wojskowa usiłowała utrzymać jakiś porządek, nie chciała puszcząć ludzi dalej do Warszawy. Ale ja musiałem iść! Podszedłem do żandarma, wylegitymowałem się, powiedziałem, że jestem z radia i mam rozkaz dotrzeć do Warszawy. Żandarm nam pomógł. Otóż akurat jechał wyładowany, wyekwipowany do podróży wóz jakiegoś „pana dziedzica”, za nim jeszcze dwa wozy z dobytkiem i prowiantem. Jeden z żandarmów zatrzymał wozy i kazał nam wsiadać. Dziedziec na to strasznie się oburzył, krzyczał, że wozy są zajęte, że nie pozwoli wsiąść jakiegś tam hołocię! Ale żandarm zareagował bardzo ostro: — Ja ci dam „zajęte”, ty „synu, jak ci... — Ostatecznie wsiadliśmy i pojechaliśmy dalej do Warszawy.

Wczesnym rankiem następnego dnia, 6 września, dotarliśmy wreszcie do Warszawy, do rogatki wojskich. Warszawa już gotowała się do obrony, ludzie kopali rowy, budowali umocnienia. Przy rogatkach wojskich zsiadłem z wozu. Dalej poszedłem pieszo. To już było niedaleko...

Wreszcie, po tylu godzinach tej morderczej wędrówki, dotarłem na ulicę Zielną 25. Tam mieściła się redakcja Polskiego Radia i studia radiowe. Przybyli też inni moi koledzy. Ale tu nas czekała niemiła niespodzianka! Powiedziano nam, że dostaniemy trochę pieniędzy, i że mamy iść dalej do Lublina, oczywiście piechotą!

Kiedy nas tak „przyjęto” w Warszawie, byliśmy zaskoczeni, rozgoryczeni. Powiedziałem sobie, że za żadne skarby nie ruszę się stąd, że nie wyślę mnie nigdzie, że nie pójdę do Lublina ani gdzie indziej! Zostałem! Zostali też inni koledzy.

SPIKERKA

Okazało się, żeśmy się jednak przydali, że byliśmy potrzebni. Po południu tego samego dnia, 6 września uruchamiano „Warszawę II”. „Warszawa I” już nie pracowała; po wybuchu wojny unieruchomiono radiostację. Cała ówczesna redakcja radia, redaktorzy, urzędnicy, razem z ministrem Liłlickim, uciekli do Rumunii, zabierając ze sobą nawet spikerów. Ze spikerów pozostali w Warszawie tylko Świętochowski, Bokiewicz i Przybora. Potrzeba było spikerów, więc i nas też wzięto na dyżury spikerowskie. Było nas wtedy, tych spikerów, razem około 10 osób, oprócz mnie jeszcze Joanna Poraska, Maria Spiczynska, Lucyna Niedziałkówna, Jerzy Bokiewicz, Jeremi Przybora, Zbigniew Świętochowski, Zdzisław Kunstan i inni. Wyznaczono nam dyżury spikerowskie, po dwie osoby, po 8 godzin. Po południu, 6 września, ruszyła „Warszawa II”. Radiostacja była zasilana nawet nie z sieci, lecz z małego generatora zamontowanego na samochodzie, który stał w bramie przy rozgłośni, na Zielnej 25.

Mój pierwszy dyżur spikerowski wypadł na samym początku pracy „dwójki”, od godziny 16. Okazało się, że nie spałem się najlepiej, bo już na samym początku programu zdarzyła mi się straszna „wsyna”. Pamiętam doskonale tę moją zapowiedź: „Halo, halo, tu Polskie Radio Łódź”. Następnie zapowiedziałem, że będziemy nadawać marsze sprzymierzonych. W tym momencie wbiegła do studia pani Zebrowska, inspektor programu, ze słowami: — Panie Ludwiku, czy pan zwariował?! Przecież tu jest Warszawa, nie Łódź! — Wtedy uświadomiłem sobie, że się pomyliłem, tak z przyzwyczajenia, bo przecież byłem pracownikiem Rozgłośni Łódzkiej. Oczywiście, natychmiast sprostowałem zapowiedź, ale już było za późno. „Radio Łódź” poszło w eter!

W Ogródzie Saskim stały akurat tabory 28 Pułku Strzelców Kaniowskich. Jeden z oficerów, kiedy tylko usłyszał w radiu moją zapowiedź, natychmiast wsiadł na motocykl i pojechał na Marszałkowska. Jeździł tak po Marszałkowskiej w tę i z powrotem, krzycząc na całe gardło: — Łódź odbita! Przed chwilą słyszałem z Łodzi głos Ludwika Szumlewskiego! Łódź odbita!

A to była niestety nieprawda. Losy wojny toczyły się inaczej. Wiadomo już było, że nie byliśmy „silni, zwarci, gotowi”. Przegraliśmy na wszystkich frontach. Ludzie o tym wiedzieli. Dlatego, po tej mojej nieszczernej zapowiedzi poszła plotka, że „sanacja oszukuje naród”, że to dlatego ten „numer” z tym radiem — Łódź, z tym odbiciem Łodzi. A tymczasem tym nieszczerzym „oszustem” byłem ja, zupełnie niechcący. Po prostu tak mi się powiedziało, z przyzwyczajenia...

OSTATNI APEL

Wojna rozgorzała na dobre. Niemcy podeszli pod Warszawę. Zaczai się straszliwy wojenny bałagan, strzelanina, naloty, bombardowania. Zaczai się nawet głód. My w radiu też nie zawsze mieliśmy co jeść, było nam coraz trudniej. Ale radio pracowało nadal, musiało pracować. Radio było przecież wtedy jedynym szybkim informatorem o wszystkich o działaniach na froncie, o sytuacji w kraju, o wszystkich ważnych wydarzeniach. Radio musiało pracować!

Codziennie w radiu był prezydent Warszawy, mjr Stefan Starzyński. To był wspaniały człowiek, ludzki, życzliwy wszystkim, przyjazny. Głęboko zatroskany tym, co się działo, losami kraju, losem Warszawy. Prezydent Starzyński przemawiał w radiu, apelował do wszystkich o zachowanie spokoju, utrzymanie porządku, o pełną mobilizację w obliczu tych tragicznych wydarzeń. Starł się zadbać, o co tylko było można. Aby życie biegło w miarę możliwości normalnie, aby wszyscy pracowali, aby sklepy, wszystkie lokale gastronomiczne były nadal otwarte, by pracowały piekarnie i masarnie. By było co jeść, by można było jakoś żyć. Apelowal do ludzi, by mimo

wszystko pozostali właśnie ludźmi, porządnymi, uczciwymi, mądrymi, dzielnymi, gotowi do walki, z wrogiem, nawet do oddania życia za ojczyznę, jeśli przyjdzie taka potrzeba. Organizował obronę Warszawy... Pamiętam ten szczególny dzień, kiedy Niemcy rozpoczęli już na dobre oblężenie Warszawy. Nadchodziła tragiczna chwila klęski. Pamiętam ów apel prezydenta Starzyńskiego do narodu, do mieszkańców Warszawy, wezwanie wszystkich do obrony stolicy, do walki do ostatniego tchnienia, ostatecznego uderzenia serca, ostatecznej kropli krwi. Pamiętam to przemówienie radiowe pełne powagi i tragizmu słowa prezydenta Starzyńskiego: „A teraz apeluję do wszystkich mężczyzn, silnych, zdrowych, tych wszystkich którzy by byli skłonni i gotowi poświęcić swoje życie dla obrony Warszawy...”

Pierwszy na wezwanie prezydenta Starzyńskiego zgłosił się spiker Polskiego Radia, nasz łódzki spiker — Zdzisław Kunstan, który był wtedy w studio. Stał przed prezydentem, trząsnął obcasami i zameldował swoją gotowość: — Panie majorze, melduję, że jestem pierwszym ochotnikiem! — Ale prezydent Starzyński odpowiedział:

— Nie nie przyjmuję waszego zgłoszenia; bo wy jesteście mi tutaj potrzebni, tak samo jak tamci na froncie! Radio musi pracować!

Zaczai się najtragiczniejszy w dziejach naszego narodu okres, najtragiczniejszy dla Polski dni...

ZBIGNIEW S. NOWAK

Foto: Archiwum



JAN SZCZAWIEJ

PIEŚŃ O OBRONIE WARSZAWY

(FRAGMENTY)

Dotąd nam jeszcze w sercach nie gasną pożary,
Dotąd wałęsa się doły, granaty pękają,
Dotąd bracia nam giną, strudzeni bez miary,
Bronią murów Warszawy przed krzyżacką zgrają.
Dotąd nas nie ugłębili zwycięzy faszystyści
i drogę mamy wolną daleko na ścieżaj.
Muzo, zrodzona z ognia, z burz i nienawiści,
Tę pieśnią jak żelazem we wroga uderzaj.

O świetne, białe miasto, o dumna stolicę!
Tu wolności duch żyje, tędy krocza dzieje,
Tu flagi narodowe świecą nad ulicą,
Tu ludzie są szczęśliwi, tu każdy się śmieje.
Tu Wisła modrą wstęgą pośród miasta płynie,
Łącząc zachód ze wschodem, wiążąc los nasz z morzem,
Pluszcząc fale o brzegi, słowik lka w gęstwinie,
Ciagna barki po wodzie z wonnym polskim zbożem.
Stąd na kraj cały wielki — krzyż z Katedry błyska,
Królowie i wodzowie tu gięli kolana,
Tutaj na rogach ulic święte lśnią nazwiska
Tych, których ręką Polska stoi zbudowana,
Tu natchnienie artyści, tu wielcy mężowie
Styl życia nasz tworzyli, własny styl kultury:
W kształcie miejskich kamienic, w poetyckim słowie,
W muzyce zdążającej śladem mknącej chmury,
W odwiecznym obyczaju, w rycerskiej dzielności,
W nienawiści do wroga, w walce do ostatka.
Tu w ziemi mazowieckiej leżą ojców kości,
Nieśmiertelne pod cieniem najlichszego kwiatka...
Tu świat przed nami wolny, szeroki, bogaty,
Tu życie nasze twórcze, tu dążenia dumne.
Fabryki, biblioteki, teatry, warsztaty,
Pod niebo zbudujemy wolności kolumnę.

Nad Starym Miastem krąży obce samoloty,
Głośnie wybuchy nagle powietrze rozdrą,
Mordercy, podpalacze, ruż do roboty,
To zamek polskich królów, to krzyż nad Katedrą.
Wciąż częściej i wciąż głośniej rozbrzmiewają działa,
Coraz bliżej podchodzi wróg do bram stolicy,
Broń gotuje Warszawa, dumna i wspaniała,
Wznosi lud barykady na każdej ulicy.

Otwórz ogień na miasto, ryży generale,
To bunt, to pycha polska, to hezeczna zdrada,
Krzyżysz, pienisz się, rzucasz, grozisz w dzikim
Już gotowe baterie, już komenda pada.
Huknęły z lasów salwy, strzeliły płomienie —
Nad Zamek i nad Sejm, i nad muzeów mury,
Spalone spadły ptaki, jęknął flet na scenie,
To teatr? Nie, to bija kłęby dymu w chmury!
To płoną nasze domy, giną nasze dzieci,
Bombami rozrywane, bezbronne jak kwiaty,
To pożar nad stolicą białą luną świeci,
To dzień i noc pękają nad miastem granaty.

O mogiły żołnierskie na środku chodnika,
O krzyże z dwóch gałązek, o helmy na grobie,
Któż wie, ile światłości taki grób zamyka,
Ile żołnierskie serce ma wieczności w sobie.
O ruiny, od szczytów rozdrąte do dołu
I jak widma straszne pożoga różową,
O strzaskane pomniki, o burzo popiołu
Z muzeów, bibliotek ciagnąca nad głową!
O trupy nie sprzątnięte, o zacięte twarze,
Bagniecie, zaciśnięte w sztywnej, martwej dłoni:
Nie podbijaj Warszawy krzyżacy zbrodniarze,
Warszawa się nie podda, Warszawa się nie bron!

W poprzek ulic okopy, koleczaste zasieki,
Z tramwajów, z wywróconych latarni barykady,
Chwała, chwała żołnierska, tu stanęły wieki,
Tu o wiekach rozstrzygnie jeden ranek błady.
Ognie szerza się krwawe, zaciętość się wzmagą,
Witaj stolicu blasku i męstwa, i dumi,
Dzielnie broni się Wola, twardo walczy Praga,
Cała ludność na szafkach: żołnierze i tłumy.
Chcecie widzieć tu piekło, bedziecie je mieli,
Wasze prawo napadać, nasze trwać i nie paść,
Prostaczekowie głupawi, mordercy weseli,
Nam pisane zwycięstwo, wam śmiertelna przepaść.

Od jęku ciężkich armat ziemia glucho dudni,
Z zamku pozostał popiół, a z ulic ruiny,
O miasto wień strzelistych, błękitnych południ,
O cmentarze po skwerach, o nagie kominy.
Trwa i walczy Warszawa, walczy i zwycięża,
O prawo do wolności, o godność człowieka.
Pludry lotry, szubrawcy, prysnie moc oręża:
Warszawy nie weźmiecie! Zagłada was czeka!

1939

KONRAD FREJDICH

Niemiec nad Warszawą

Wpadła mi w ręce książka zaciernej firmy wydawniczej Schmidt i Spring, założonej w Lipsku w roku 1843. To właśnie nakładem tej oficyny w roku 1939 jako 89 z kolei tom cyklicznej, ponawianej corocznie edycji, ukazał się „Nowy niemiecki przyjaciel młodzieży” z wieloma barwnymi i czarnymi ilustracjami, a w nim „dla rozzerwania i pouczenia młodzieży” następująca relacja:

„Im łatwiej wzrastała groźba polskich przygotowań wojennych, tym większa stawała się także gotowość naszej Luftwaffe, której postawiono zadanie natychmiastowej odpowiedzi ogniem na pierwsze uderzenie przeciwnika.

Wczesnym rankiem, pierwszego września grupa bombowców otrzymała rozkaz zniszczenia leżącego na południu Warszawy lotniska Mokotów.

Najpierw uniemożliwili start zia pogodą. Nad Warszawą wisiały deszczowe a na wysokości 100 metrów nawet śniegowe chmury; ciężkie bombowce nie mogły atakować. Wreszcie samolot rozpoznawczy przyniósł wiadomość o polepszeniu pogody. Uskoki dioni koleków, którzy zostali na ziemi, troszczyć się o to, aby każda krabka w maszynie była w porządku. Wkrótce z grzechotem leciały ciężkie bombowce ze wszystkich stron lotniska na start, ustawiając przepięknie i wznosząc kłucz po kłucz. Niezwykle uczucie pierwszego lotu do nieprzyjaciela!

Teraz maszyny leciały, kłując i wznosząc się nad wchodzącym do akcji portem lotniczym. Każda ciężko nieśli swoje bomby, w locie przesuwając się powoli na swoje miejsca, jeszcze rozciągając na duże szerokości.

Nasze samoloty wznosiły się wyżej. Teraz założyły maski tlenowe i podczas gdy pokonywały obłoczny kraj obraz, za nami, w dole, pozostała ojczyzna z tysiącem barw jakby chciała nam jeszcze raz ukazać swoje piękno. Tak różni się od żółtej pustki polskiej ziemi, nad którą teraz lecimy.

Kraj nieprzyjaciela! Niebo, pełne obłoków, wita nas cudownymi twarzami. Stojące przebiega gwałtownie budowle z chmur i obmalowuje ich kontury światłem. Wśród nich poruszają się gładkie i smukłe, dalekie i bliskie, kadłuby naszych samolotów, z których wystają ruchliwa broń maszynowa.

Lot do wroga i do tego pierwszy. Jednakże wszystko przebiega w całkowitym spokoju. Ale nasze dusze są przejęte aż do nerwów. Odczuwają, czterdzieli stopni mrozu, prawie go nie czując. Do stałych części przynależą palce. Czy poszukują przeciwnika w ciemniejącym przed nami błękitnie nieba i w szarej głębi.

Przelatujemy nad Wisłą. Skracamy na wschód i po kilku minutach osiągamy stolicę Polski.

Na rozkaz dowódcy eskadry, klucze zaczynają się rozprasać. Skracają we wszystkich kierunkach, okrążają Warszawę ze wszystkich stron, znikają w chmurach i przebiegają je na nowo, i w dalekim falowaniu przelatują nad nieprzyjacielską stolicą, nurkując w taki sposób nad trasą i celem.

Chociaż pomiędzy zwalami chmur rozpoznajemy miasto do najdrobniejszych szczegółów, nie spada ani jedna bomba.

Teraz na wydany w locie rozkaz dowódcy eskadry, klucze skupiają się nad południowo-zachodnią częścią miasta na wysokości 7 tys. metrów. Z niewiarygodną szybkością zbierają się uszeregowane, atakujące formacje, wznosząc się i opadając, maszyną przy maszynie.

Teraz widoczne jest gigantyczne koło lotniska. Ostatnie zorientowanie w przestrzeni, po którym „żelazne bogostawieństwo” spadnie pewnie w dół na hale i budynki zarządu i już leciały samoloty bomby. Stacają się długimi tańcami, odwracają do dołu ostrymi pyskami i znikają w szarej przepaści. Z prawa, z lewa, z nami, przed nami, na lotnisko padają bomby.

W międzyczasie rozbił się obrona przeciwnika na domach i placach miasta. Obłoczki wybuchów zdają się w górę nieprzeniknioną dala nieba.

Jednakże żaden przeciwnik nie staje przeciw nam, żeby zmierzyć się z naszymi nurkowcami. Nie przedstawiają się nam naszym zniszczeniu nalożeni,

zawraca bez walki nad Mokotów, gdzie jest bezpośrednio po załadunku bezradny w piekło naszych padających bomb.

Zawracamy nieco na północ, oglądamy rozgorączkowanym wzrokiem błyski, dym i ogień padających bomb. Pożary strzelają żółtymi płomieniami.

Wtedy zanurzamy się już, kryjąc w ścianie chmur, lecimy do ojczyzny. Teraz, po nalożeniu, czujemy straszliwy chłód. Eskadry unoszą się w powietrzu 1000 metrów nad wioskami i miastami, wywołując samym pojawieniem się panikę i grozę w polskich kolumnach. Oni tam pod nami nie mogą przecieć wiedzieć, że w cielskach naszych bombowców nie ma już bomb!

Grafomańska relacja nadporučnika Killana Kolla nie warta by była może tłumaczenia, gdyż nie kilka kłamstw, które nawet teraz po latach, domagają się zdecydowanego przyzwolenia. A to dlatego, że przedstawiony przez niego obraz wojny ma swoje liczne przedłużenia w aktualnie ukazujących się na Zachodzie publikacjach, gdzie nie jest poddawany żadnej weryfikacji.

Zacznijmy może od „urody polskich przygotowań wojennych”. Postulujemy, że znany powszechnie faktami, które wskazywały nieustannie, nie tylko w okazji rocznicy Września, domagają się przypomnienia.

Tygodniki z końca lat trzydziestych przyniosły wzruszające zdjęcia rozrzuconych rodzajów broni uinnowanej przez społeczeństwo polskie, kiedy wypady uderzenia przeciwko naszym krajowi stały się coraz bardziej bezczelne, a przysiad zniewolonej Austrii i czechosłowacji pouczał, że twórcą faszystowskiej dzieszy raczej nie żartuje. Nie szczędzono więc datków na rzecz armii, rozstawano się z kosztownościami, z pieniężnymi odłożonymi na czarną godzinę, bo ta najczarniejsza ze wszystkich godzin, właśnie nadchodziła i społeczeństwo polskie nieomylnie to odgadło. Byliśmy jak na propagandowych plakatach poczynki obrony przeciwlotniczej rzeczywiście zwarec wobec niemieckiego zagrożenia, rzeczywiście gotowi nawet na najgorsze, w porównaniu z uzbrojonym po zęby wrogiem nie byliśmy jednak silni. Stosunek sił był wyraźnie nierówny, Niemcy znajdowali się w wielokrotnie korzystniejszej sytuacji.

Wystarczy przytoczyć parę danych. Na początku roku 1939 armia niemiecka liczyła 740 tys. ludzi po mobilizacji jesienią powiększyła się o dalsze 2 miliony żołnierzy.

Stan liczebny armii polskiej w roku 1939 wynosił około 300 tys. ludzi. Zgodnie z planem mobilizacyjnym, na wypadek zagrożenia, liczebność żołnierzy można było powiększyć do 1,5 miliona. Na skutek odwołania mobilizacji (co było także manewrem niemieckim; pozorowana próba rozwiązania konfliktu na drodze dyplomatycznej), czynna armia polska liczyła w dniu 1 września 1939 roku niewiele ponad pół miliona ludzi. Jeszcze gorzej ten stosunek sił rysował się na niekorzyść Polski w sprzeczce bojowej, który był w porównaniu z niemieckim przestarzały technicznie. 3200 hitlerowskich czołgów mogliśmy przeciwstawić ledwie 600 4300 niemieckim działom ledwie 1350 armat. Wyżyskując zaskoczenie i koncentrację sprzętu, na określonych kierunkach dowództwo niemieckie przewagę tę jeszcze powiększyło.

Wróćmy jednak do relacji nadporučnika Killana Kolla, który rankiem 1 września 1939 roku otrzymał rozkaz zbombardowania lotniska na Mokotowie. Zapominał tam napisać, że lotnictwo niemieckie składało się we wrześniu 1939 roku z czterech flot powietrznych liczących ogółem 4303 samoloty, co prawda tylko 2735 bojowych. Ale ponad połowa z nich rzucana została przeciwko Polsce. Wśród nich bombowce, których w Luftwaffe było zresztą najwięcej (1180 maszyn) spośród wszystkich typów samolotów.

Na jednym z takich bombowców z bazy w Prusach Wschodnich („Przelatujemy nad Wisłą. Skracamy na wschód...”) wystartował nadporučnik Killan Koll. Pilotował najprawdopodobniej „Heinkla 111 B”, był to bowiem najpopularniejszy typ samolotu w armii hitlerowskiej, produkowany już od 1937 roku. Maszyna ta uzbrojona była w trzy karabiny maszynowe i zabierała jednorazowo 2000 kg bomb. Jej pułap lotu wynosił 7500 m (eskadra Kolla nigdy nie wznosił się wyżej niż

na 7000 m), szybkość do 400 km/godz., załoga stanowiła cztery osoby.

Przebieg lotu eskadry Killana Kolla też nie był taki spokojny. Już o 6.30 bombowce zostały dostrzeżone nad Miawą i wiadomość o tym została natychmiast przekazana do sztabu polskiego lotnictwa. Dwadzieścia minut później z lotnisk połowych dookoła Warszawy (Zielonka, Poniatołów) wystartowały maszynowe brygady posługiwanej pułkownika Stanisława Pawlikowskiego. Nad wsią Nieporęt blisko 80 niemieckich bombowców i towarzyszące im myśliwce zostały dostrzeżone przez polskie maszyn.

Oto co pisze na ten temat Apoloniusz Zawilski, w świetle monografii „Bitwy polskiego września”:

„Klucz porucznika Aleksandra Gabszewicza z eskadry 111, pierwszy otworzył ogień. We wstępnym ataku pilot ten zapalił „He-111”. W ślad za nim poszła cała brygada. Zaatakowana formacja niemieckich bombowców odpowiadając naszym ogniom i zaczęła się pospiesznie rozprasać. Równocześnie wszedł do akcji myśliwiec „Me-110”. Zwarci przeorał go w serię indywidualnych pojedynków.

Sila uderzenia polskich myśliwców była tak wielka, że gdyby mieli większą szybkość i lepsze uzbrojenie dokonali by wielkich zniszczeń w eskadrach nieprzyjaciela. Pod impetem tego uderzenia Niemcy w panice rzucili bomby na obszarze miejscowości podwarszawskich i ponosząc duże straty ratowali się ucieczką. Do akcji włączyła się artyleria przeciwlotnicza, a wybuchy jej pocisków, doskonale widoczne na tle górnych wierzchołków chmur, ułatwiły poszukiwanie nieprzyjaciela. Na niebie zawisły czarne ślady dymu zapalonych „heinkli”, „messerschmitów” a także polskich maszyn.”

Tak więc, wbrew temu, co napisał nadporučnik Koll, jego eskadra nie mogła wykonać rany swojej zadania. Wątpię należy, czy wykonała je także po południu, kiedy Niemcy skierowali na Warszawę kolejną potężną grupę samolotów. Polacy przeciwstawili tym maszynom około trzydziestu myśliwców, i tym razem Niemcy zostali rozproszeni. Tylko nieliczne klucze przetrwały się do Warszawy rzucając chaotycznie bomby, aby jak najprędzej pozbyć się obciążenia. Duch bojowy pilotów niemieckich nie był zbyt wielki, skoro większość bomb spadła na pola uprawne i lasy. Ze to w pełni odwołali karty atakujące bezbronnym. Killan Koll z załem wspomina, że nie mógł rzucić bomb na kolumny uciekinierów. Za to mógł chyba do woli ostrzeliwać uciekających z karabinów maszynowych, o czym już nie wspomina. Była to śmiała zasada postępowania lotników Luftwaffe, którzy zgodnie z dyktandem Hitlera: „Bądźcie bez litości! Bądźcie brutalni!”, rzucali sobie na przykład latających morderców.

2000 niemieckich samolotów mogliśmy przeciwstawić ledwie 400 naszym, przewaga Luftwaffe była przynajmniej 5:1, a jednak w pierwszych dniach wojny hitlerowscy piloci z obawą udawali się na polskie niebo. Nie dziwnego: w czasie wojny obronnej we wrześniu 1939 roku lotnicy polscy zestrzelili ponad 130 niemieckich maszyn, dalszych 150 zniszczyła nasza obrona przeciwlotnicza, drugie tyle zostało uszkodzonych. To też klucze resztki naszych lotniczych pułków ewakuowały się do Rumunii, lotnicy polscy mogli sobie z satysfakcją powiedzieć, że mimo przeważających sił wroga z honorem wykonali swój obowiązek obrony naszego nieba.

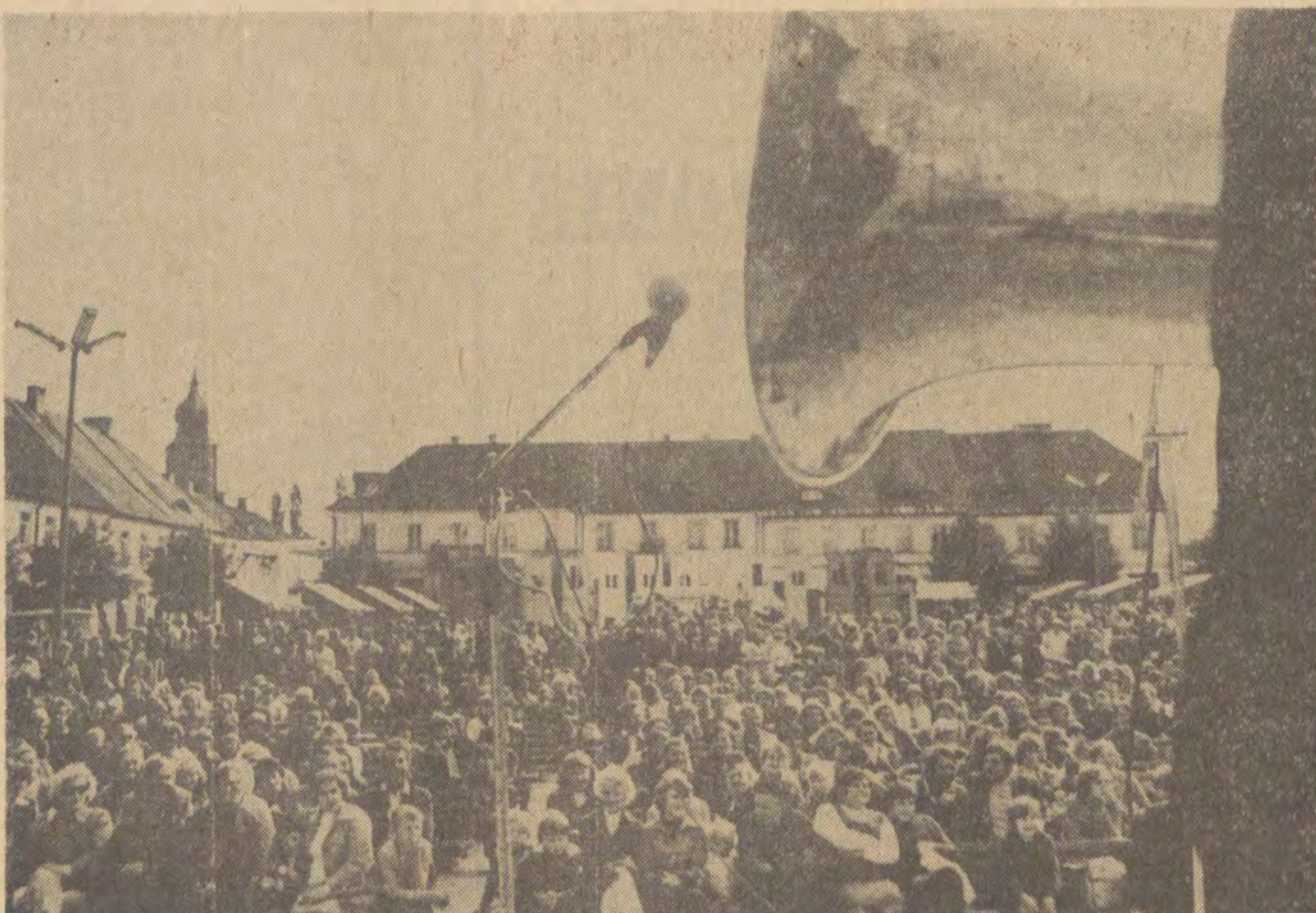
PS. Z satysfakcją trzeba odnotować nową inicjatywę wydawniczą KAWU, która rozpoczęła publikację bogato ilustrowanej serii pn. „Ji wolna swiatawa”. W przeddzień trzydziestej dziesiątej rocznicy września ukazał się właśnie pierwszy zeszyt zatytułowany „Marsz ku wolności”. Konsultantami naukowymi serii są tak wybitni znawcy historii wojskowości, jak p. prof. dr Emil Jędrzejak i prof. dr Witold Jędrzejak. Redakcja zamawia ukazanie się kolejnych zeszytów w odstępach sześciotygodniowych, a całość zamknie się w trzydziestu numerach przeznaczonych przede wszystkim dla młodzieży. Szkoda tylko, że ta nowa inicjatywa skalutowana została tak drogo — 40 zł za 80-stronicowy zeszyt, to chyba zbyt dużo, skoro adresem edycji ma być przede wszystkim młodzież.

K.F.

ŚWIĘTO „TRYBUNY LUDU” NA ZIEMI SIERADZKIEJ



Dużą atrakcją były pokazy ludowego tkactwa. Na zdjęciu: Władysława Dobroszek, tkaczka spółdzielni „Styl”.



Na rynku tłumy sieradzan przyglądały się występom amatorskich zespołów ludowych.



Jerzy Kaczmarek, rzeźbiarz ludowy, laureat konkursu „Sztuka ludowa województwa sieradzkiego”.



Na oczach widzów powstawały urodziwe wazy — okazały ludowego garncarstwa.



Laureaci nagród z okazji Święta „Trybuny Ludu”: artysta plastyk — Leszek Różga i rzeźbiarz ludowy — Stanisław Korpa.



Na wystawie pokonkursowej w Muzeum Okręgowym w Sieradzu.



Szczepan Mucha na wystawie swoich rzeźb w sieradzkim BWA.



Mimo niesprzyjającej pogody koncertom przysłuchiwały się całe rodziny.

Foto: Włodzimierz Parys

W ostatnią sobotę i niedzielę sierpnia województwa sieradzkiego i sieradzkie były miejscem kolejnych spotkań czytelników z „Trybuną Ludu”. Podobnie jak w Łodzi, dwudniowy festyn poprzedziły oficjalne i dyskusyjne spotkania władz partyjnych i administracyjnych województw, aktywów partyjnych i młodzieżowych oraz załóg zakładów pracy z dziennikarzami organu KC PZPR.

Dla społeczeństwa obu młodych województw obchody święta „Trybuna Ludu” stały się dobrą okazją do „aprezentowania” regionalnego dorobku gospodarczego, społecznego i kulturalnego. W kalendarz imprez związanych z uroczystością obchodzoną w świetle centralnej gazety wpisano wydarzenia o ważnym znaczeniu dla obu regionów. Wiele z nich zawdzięcza swoją inspirację „Trybunie Ludu”.

Okazało się na przykład, że w województwie sieradzkim możliwości są dużo większe niż przewidywano. Podczas przygotowań, święta „Trybuna Ludu” wyzwoili wiele cennych inicjatyw, których uświadamianiu służyły zwłaszcza liczne konkursy i współzawodnictwa w różnych dziedzinach życia społecznego. Jak podkreślił sekretarz KW PZPR w Sieradzu Tadeusz Stasiak, witając gości na spotkaniu polityczno-administracyjnym, władz województwa sieradzkiego z kierownictwem zespołu „Trybuna Ludu”, wybór tego właśnie wojewódz-

twa na miejsce tegorocznych obchodów święta organu KC PZPR przyczynił się do mobilizacji społecznych sił i środków. Miejscami, w których owo uruchomienie inicjatyw nastąpiło szczególnie wyraźnie, były miasto i gmina Podębcice, gdzie przed terminem oddano do użytku szpital na 100 miejsc i zespół basenów kąpielowych — część dużego ośrodka sportowo-rekreacyjnego. Sieradz, gdzie zbudowano nowe przedszkole, Wieluń, wzbogacony o nowy dom handlowy, Trębaczew, Konopnica i Sieniec, gdzie w dniach obchodów święta „Trybuna Ludu” otwarto nowe placówki gastronomiczne i socjalne.

Barwną oprawę prezentowanego na święcie „Trybuna Ludu” dorobku Ziemi Sieradzkiej stanowiły propozycje przygotowane na tradycyjny już trzeci z kolei Festiwal Sztuki Ludowej i Folkloru Województwa Sieradzkiego. Białym dorobek tej ziemi to nie tylko osiągnięcia gospodarcze, także bogate tradycje oryginalnego folkloru i sztuki ludowej.

Docenili ten fakt organizatorzy święta. Szereg imprez kulturalnych zainicjowała „Trybuna Ludu”.

I tak na przykład plonem zorganizowanego z okazji święta konkursu pod nazwą „Sztuka ludowa województwa sieradzkiego” była duża wystawa, otwarta w sobotę 26 sierpnia w Muzeum Okręgowym w Sieradzu. Zaprezentowano na niej nieomal wszystkie

dziedziny sztuki ludowej, przykłady rzeźb, ozdób i strojów ludowych, wyrobów z wikliny, zabawek, obrazów itp. eksponatów, stanowiących przekrój możliwości twórczych regionu (jedynym brakiem, dającym się zresztą usunąć, jest anonimowość wystawianych prac, nieobecność podpisów pozwalających rozszyfrować autorów).

Oficjalne rozdanie nagród i dyplomów zwycięzcom konkursu — autorom wystawianych w muzeum prac, odbyło się jeszcze tego samego dnia. Podczas tej uroczystości wyróżniono również grupę działaczy kulturalnych regionu i związanych z nim łódzkich artystów-plastyków: Leszka Różgę i Józefa Wasiołka, notabene uczestników trwającego w dniach od 14 sierpnia do 5 września w Wieluniu III Sieradzkiego Pleneru Plastycznego.

Wśród twórców ludowych — laureatów zorganizowanego z okazji święta „Trybuna Ludu” konkursu, znalazł się między innymi rzeźbiarz Szczepan Mucha z Szali koło Klonowej, którego wystawę otwarto jednocześnie w sieradzkim BWA.

70-letni twórca, zaliczany do czołówek polskich rzeźbiarzy ludowych, znany jest jako laureat szeregu ogólnokrajowych konkursów. Nagrodzone i lokaty na konkursie we Wrocławiu w 1976 r. ule figuralne, podobnie jak i inne prace można zobaczyć na tej pierwszej indywidualnej wystawie Szczepana Muchy,

otwartej podczas święta „Trybuna Ludu”, a czynnej również we wrześniu.

Nieco inną w charakterze ekspozycji możliwości sieradzkiego twórcy „ludowych” była „Cepeliada” zorganizowana na sieradzkim rynku, podczas której — oprócz prezentacji wyrobów krajowej i bułgarskiej sztuki ludowej — swój dorobek i warsztat pokazywali — podczas pracy — czołowi sieradzcy twórcy: garncarze, tkacze, wycinankarze. Przedmioty z drewna, kolorowe kilimy i wazy były chyba najbardziej poszukiwanymi pamiątkami z festynu. Warto również dodać, że sieradzcy twórcy ludowi w tydzień później, w dniach od 2 do 3 września brali udział w zakończeniu tegorocznego święta „Trybuna Ludu”, wzbogacając swoją obecnością tradycyjną „Cepeliadę” na placu Defilad w Warszawie.

Równocześnie z pokazami na sieradzkim rynku, na pobliskiej estradzie trwał barwny korowód zespołów ludowych. Koncerty folklorystyczne odbywały się zresztą nie tylko w samym Sieradzu — gdzie zorganizowano maraton folklorystyczny — ale również w innych miastach i gminach będących współgospodarzami tegorocznego święta: w Zdunskiej Woli, Wieluniu, Podębcicach i Konosinie, gdzie otwarto również interesujące ekspozycje ukazujące sieradzką Sztukę Ludową i Folklor. W obiektywie fotoreporterów,

Natomiast bliżej już związane z poli-

tycznymi treściami święta „Trybuna Ludu” były inne wystawy fotograficzne i plastyczne, otwarte w Sieradzu ekspozycja pn. „Województwo sieradzkie w obiektywie fotoreportera „Trybuna Ludu” (ciekawie połączone z wystawą róż i ceramiki sieradzkiej), wystawa plenerowa „Polska 78”, wystawa ze zbiorów Muzeum Ruchu Rewolucyjnego w Warszawie „Sztuka pokoleń” i niewielka, ale godna uwagi wystawka „Prasa polska w sztuce plakatowej” zaprezentowana w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej.

W drugim dniu sieradzkiego festynu na kermaszu swoje książki podpisywali: Teodor Goździkiewicz, Tadeusz Chrościelewski i Jerzy Wawrzak.

Wszystkie te wystawy i handlowe kermasze, jak również inne imprezy znajdujące się w bogatym programie sieradzkiego święta „Trybuna Ludu”: koncerty, przedstawienia teatralne, projekcje filmowe, a także imprezy o charakterze sportowym, rekreacyjnym i turystycznym — były dowodem miłośników organizatorów i cieszyły się dużym zainteresowaniem społeczeństwa województwa sieradzkiego.

(S)



Radziecki reżyser G. Aleksandrow, autor rekonstrukcji znakomitego filmu S. Eisensteina „Niech żyje Meksyk”.

JURIJ BIEŁKIN

POWTÓRNE NARODZINY REŻYSERA

Na maleńkim ekranie wznoszącym się nad stołem montażowym, migają kadry, które stały się klasyką sztuki filmowej i są znane milionom ludzi na całym świecie. Odsłaniana przyroda Meksyku z jego tropikalnymi dżunglami, z surowymi górami i dzikimi pustyniami. Majestatyczne piramidy, ruiny obywateli, świątynia, twarze, przed nami pojawiają się twarze ludzi: młodych, dojrzałych, starszych, żołnierzy, studentów, agronomów, przywódców państwa, dzieci. Widzimy idoli pogańskich świąt, tańczących pod czasami burzy. Zastygły w fotelu, wpatruje się z napięciem w te kadry człowiek, dla którego nie są one zwykłą historią filmu, tylko niezapomnianą kartą jego własnej biografii. Przecież około pół wieku temu wypadło mu osobiste wziąć udział w ich powstaniu. Tutaj, w jednym z montażowych studiów „Mosfilmu” pracuje dziś Ludowy Artysta ZSRR, Bohater Pracy Socjalistycznej, reżyser filmowy Grigorij Wasiljewicz Aleksandrow. Swoją jubileusz 75-lecia wita nową pracą: rekonstrukcją, zdawałoby się na zawsze straconej, znakomitej taśmy Sergieja Eisensteina „NIECH ŻYJE MEKSYK”.

Jak wiadomo w początkach lat trzydziestych Sergiej Eisenstein, Grigorij Aleksandrow, Eduard Tisse przyjechali do USA do Hollywood, żeby praktycznie poznać produkcję filmów dźwiękowych. Jedną z większych amerykańskich firm „Paramount” zaproponowała radzieckim filmowcom nakręcenie filmu według własnego wyboru. W ciągu roku napisali trzy scenariusze: „Złoty Sutter”, „Szkłany dom” i „Tragedia amerykańska” według powieści Teodora Dreisera. Ale ani jednego z tych scenariuszy jakoś nie udało się nakręcić. Wszystkie projekty S. Eisensteina pod różnymi pretekstami zostały odrzucone. Amerykańskich producentów przerażała rewolucyjność zamysłów radzieckiego artysty, nie wyrażającego zgody na kręcenie bezideowych, komercyjnych obrazów i proponującego poważne, ważne społecznie i artystycznie. Kontrakt z „Paramount” przyszedł rozwinąć. Wtedy w Hollywood nie było już nic do roboty.

Kiedy tylko przyjechaliśmy do Ameryki — opowiada reżyser Grigorij Aleksandrow — znakomity aktor i re-

żyser CHARLIE CHAPLIN przy pierwszym spotkaniu z nami spytał: — Po co panowie przyjechali do Hollywood?

— Przyjechaliśmy, żeby zobaczyć jak się tu robi filmy dźwiękowe — odpowiedziliśmy.

— Tu nikt nie robi filmów — powiedział Chaplin. — Tutaj robi się pieniądze przy pomocy filmów. Jeśli chcecie zobaczyć, jak robią dobre filmy, jedźcie tam, gdzie nakręcono „Panterę i Pięć kotów”.

Jednakże tak się złożyło, że wypadło nam rok jeszcze później w Ameryce. Grupa postępowych działaczy kultury: malarze Diego Rivera i Dawid Siqueiros, pisarze Teodor Dreiser i Ruce Williams, aktorzy Charlie Chaplin i inni zaproponowali naszej grupie stworzenie filmu o Meksyku. Zapraszali do zwiedzenia tego osłabionego kraju, zapoznania się z jego starożytną kulturą i nakręcenia filmu o życiu meksykańskiego ludu. Jak można było nie przyjąć tak pociągającej propozycji! Sergiej Eisenstein podpisał z żoną pianistką Mary Onopina Sinclaira, Mary Sinclair porozumienie o produkcji filmu. W rezultacie zrodziła się niezwykła organizacja: „Trust meksykańskiego filmu Eisensteina”.

Piątego grudnia 1930 roku przekroczyliśmy granicę Meksyku. Po bezskutecznych staraniach nakręcenie w Hollywood ostrego społecznego filmu, w którym żyłowa prawda przeciwstawiała się „fabryce snów”, na pełną moc rozkroczonej przez amerykański kinobiznes, Eisenstein szczególnie pragnął stworzyć prawdziwy film, zrodzony przez wysokiej temperatury uczucia obywatelskie.

Zanim przystąpiliśmy do zdjęć, my, trójka radzieckich filmowców, postanowiliśmy poznać kraj. Obiecaliśmy mnóstwo oddalonych miejsc, leżących daleko od szlaków turystycznych. Zobaczyliśmy Meksyk nie opisany przez literaturę, nie pokazany na ekranie. Zobaczyliśmy i byliśmy oczarowani krajem, jego niepowtarzalną samodzielną kulturą, systemem życia. Odczytaliśmy historię kraju jako nieustanną walkę ludu w imię urzeczywistnienia jego odwiecznego dążenia do niezawisłości i wolności. W tych wyjazdach towarzyszyli nam pisarze, malarze, uczeni, młodzi entuzjaści kinematografu, którzy na-

stępnie zostali twórcami meksykańskiego kina. Ten zadziwiający wyjazd odkrył przed nami nieograniczone, nieznane dotąd sztuce filmowej świata.

W rezultacie tego pod piórem Eisensteina i moim powstał scenariusz „Niech żyje Meksyk”. To miał być film o formowaniu się ludzkiej świadomości, o walce narodu o swobodę i niezależność. Jego treścią: sama wielowiekowa historia Meksyku, a bohaterem: meksykański lud.

Zaczęły się zdjęcia. Wytrwale pracowaliśmy w ciągu 7 miesięcy, ciężko pokonując sami różnorodne trudności. Skreśliśmy monumentalne pomniki starożytnego Meksyku, niepowtarzalne twory ludu Majów i Azteków, współczesne życie różnych grup społecznych — ponad 70 tysięcy metrów taśmy.

Libretto przyszłego filmu „Niech żyje Meksyk” składało się z prologu, czterech nowel i epilogu. Akcję prologu sfotografowaliśmy w Jukatanie, zamieszkałym przez potomków ludu Majów. Tam utrwaliśmy pomniki architektury okresu starożytności, Jukatana jako symbol przeszłości, był punktem wyjścia naszego filmu. Ponura, procesja pogrzebowa... Idole pogańskich chrampów, maski bogów, fantomy dalekiej przeszłości — taki był koniec prologu.

Pierwsza nowela „Sandunga” — wspomnienie o Meksyku w czasach przedkolumbijskich. W malowniczych dżunglach Tehuantepeka zachował się niemal przedkolumbijski system życia. Tam, pod sennym szelestem palm, nakreśliśmy tę statyczną nowelę.

Jak biegł północny różni się od równika, tak niepodobne do sennego Tehuantepeka były miejsca, gdzie kręliśmy nowelę „Maj”. Z kaktusów wyrastały się białe, jak mleko, indiańskie alkoholowe napoje „pulque”. O darzącą namietnością przepojona jest także nowela „Maj”, o ostrych treściach, dramatyczna historia miłości biednego penna i jego narzeczonej. Udało nam się tutaj nakręcić prawie wszystko, co zamierzaliśmy.

Trzecia nowela „Fiesta” poświęcona była życiu ludu meksykańskiego pod władzą hiszpańskich kolonizatorów. Hiszpańska architektura, malarstwo, walki byków, romantyczna miłość, zazdrość, zdrada, lekkość, z jaką południowcy puszczały w ruch broń — oto atmosfera „Fiesty”.

I wreszcie „Soldadera” miała wskazać wydarzenia rewolucji 1910 roku. Tej części prawie nie udało nam się nakręcić.

A w epilogu chcieliśmy ukazać Meksyk końca lat dwudziestych. Taki był nasz twórczy zamysł.

Jednym słowem rodzilo się niezwykle i pod każdym względem unikalne dzieło filmowe. Nakręcony materiał posyłaliśmy do wywołania i skopiowania do Hollywood. Jaką była nasza radca, kiedy oglądający go wybitni mistrzowie kina w swoich listach do nas nie skapili pochwał. Według nich ekipa Eisensteina odkryła dla widzów nowy, nieprzetarty kraj.

Niestety, zakończyć tej pracy jednak nam się nie udało. Wśród określonych kręgów w Hollywood możliwość pojawienia się filmu przesłannego rewolucyjnym patosem wywoływała ogromny niepokój. Jeszcze nie stworzony obraz wielu twórców, przestraszał i wówczas Sinclair przerywał finansowanie zdjęć. Amerykański pisarz zamierzający zgłosić swoją kandydaturę na gubernatora stanu Kalifornia zrywał wszelkie stosunki z radzieckimi filmowcami. Z ezrowonimi, z ekipą Eisensteina nie ma zamiaru dłużej utrzymywać znajomości.

Z bólem przerwałem nie w pełni skończoną pracę, byliśmy zmuszeni opuścić Meksyk. Na początku kwietnia 1932 roku wyjechaliśmy do Moskwy. Nasza taśma, w którą zostało włożone tyle miłości, pracy i natchnienia na zawsze została w Ameryce. Sinclair, który obiecał radzieckim filmowcom udostępnić ja do montażu nie dotrzymał słowa.

Wieleletnie próby odzyskania taśmy nie dały żadnych rezultatów. Długie lata patrzyliśmy z daleka na komercyjne eksperymenty z rewolucyjnym z ducha materiałem, który znalazł się w kapitalistycznej niewoli. Sprzedawano go hurtowo i detalnie, rozkradano dosłownie po kawałku. Epizody masowych rewolucyjnych scen były wykorzystane w znanym filmie „Viva Villa!”, sceny walki byków Edda Kantora wmontował w swoją komedię amerykańska firma „Metro-Goldwyn-Mayer” zrobiła z tego materiału obraz „Burza nad Meksykiem”, zapewniając, że został zmontowany w pełnej zgodności z zamysłem Eisensteina. Jednakże sam Eisenstein zobaczywszy ten film, wyraził jego twórcom niekłamane oburzenie, ponieważ okazał się on prawdziwą parodią naszego zamysłu. Pragnących „tworzyć” pod Eisensteina i za Eisensteina w sprzedajnym burżuazyjnym świecie znalazło się bardzo wielu. Krótko mówiąc, w ciągu minionych lat przydarzyło mi się widzieć niemal taśm, skrojonych z

kopii naszego meksykańskiego materiału. I z całkowitą odpowiedzialnością jestem zmuszony ogłosić, że ani jedna z nich, nawet w najmniejszym stopniu, nie odpowiadała końcowemu zamysłowi autorskiemu. Wszystkie one na swój sposób wypaczały go...

Skrecony przez nas ponad 40 lat temu materiał znajdował się w nowojorskim Muzeum Sztuki Współczesnej. We wszystkich szkołach filmowych świata istnieją kopie różnych epizodów „Niech żyje Meksyk”. Są demonstrowane na prelekcjach i wykładach jako klasyka współczesnej sztuki filmowej. O tej taśmie Sergieja Eisensteina napisano wiele artykułów i książek. Wydane są liczne warianty scenariusza. Ale i tutaj nie spotkałem ani jednego, który choć trochę przypominałby oryginał.

A nawet teraz, w moim archiwum i w archiwum Eisensteina znajduje się rękopis scenariusza, opracowania montażowego, szkice, zarys pomysłu muzycznego i warstwy dźwiękowej. Obok meksykańskiego wariantu scenariusza istnieje także drugi, napisany przez Eisensteina w 1932 roku, zaraz po powrocie do ojczyzny. Był obliczony na montaż filmu ze skreconych materiałów i dlatego składa się nie z czterech, lecz z dwóch nowel. W tym wariancie scenariusza powiedziane jest to wszystko, co zostało opuszczone i zasyfrowane z względów cenzuralnych w „meksykańskim” libretcie. Jednym słowem dysponujemy głębokim, pełnym i autentycznie eisensteińskim wyjaśnieniem projektu filmu. Film ten jawi się nam jako myślowe widzenie, jak wielka epopeja losu ludu, przeniknięta przeczuć rewolucyjnych dokonań. Przy istnieniu materiałów wyjściowych można by zrekonstruować film w jego pierwotnym, oryginalnym kształcie.

Marzyłem o tym długie lata. Ale marzenia pozostawały marzeniami. I oto, całkiem niedawno to marzenie stało się rzeczywistością: materiały do zmointowanego filmu „Niech żyje Meksyk” przybyły ze Stanów Zjednoczonych do ZSRR. Ostatecznie „Gosfilmfondowi” udało się wymienić go na kilka naszych filmów.

I teraz w „Mosfilmie” na moim stole montażowym leżą bezcenne pudełka z taśmą skreconą przez naszą ekipę w 1931 roku. Jestem niecierpliwie oczekujący, że mam możliwość powrócić do tej pracy i zakończyć ją. Czekam, aż zapoznam się z przesyłanym materiałem i zmointowany film tak, jak go zamierzaliśmy.

Niestety zmuszony jestem skonstatować, że około 15 tysięcy metrów taśmy mimo wszystko nie wystarczy. To znaczy pod względem ilości materiału jest więcej niż dostateczne. Ale niestety zdarzają się fragmenty całkiem wybrażowane, epizody powtarzające się wielokrotnie, a niektórych scen nawet zupełnie brak. Zrozumiałe, że w takiej sytuacji zmointować film jest bardzo trudno. I muszę wraz z moim kolegą, reżyserem Nikitą Orłowem iść na niektóre decyzje kompromisowe, żeby choć jakoś wypełnić, zrekonstruować zamyśl Eisensteińskiego. W naszym filmie: jedne noweły powieć prawie w całości, o innych epizody jak „Walka byków” i niektóre inne wykorzystam jako montażowe szkice. Nie skrecone sceny zastąpią freski, sztychy, malarstwo, architektura, pejzaże... Film zakończy się kadrami współczesnego Meksyku, pięknego kraju, który tak pokochaliśmy. Jednym słowem zapowiada się wielka i odpowiedzialna praca. Ale wykonać ją jest moim świętym obowiązkiem wobec mego nauczyciela Sergieja Eisensteina i wobec naszych czasów. Jestem przekonany: film „Niech żyje Meksyk” i dziś nie straci na aktualności. Dlatego, że nasze czasy z całkowitą oczywistością potwierdzają: niedwucalny jest proces walki wyzwoleńców narodów latynoamerykańskich o swoją wolność i suwerenność, o demokrację i postęp.

I o tym — nasz film.

Przełożył:
KONRAD FREIDLICH

(Artykuł specjalnie napisany dla „Odgłosów”).



Fotos z planu zdjęciowego filmu „Niech żyje Meksyk”.

WODZIREJ

„Wodzirej” Feliksa Falka — twórcy niedocenionego przez krytykę „W środku lata” — reżyseruje wiele charakterystycznych paradosów w wizji rzeczywistości, jaka tworzy jej uczestnicy podlegają wieloaspektowemu, skomplikowanemu mechanizmowi manipulacji. Mechanizm ten pozornie może być utożsamiany z dobrze znanym, powszechnym dążeniem do sukcesu, zrobień kariery, czepiania profilów z pełnowartościowych, wysokich osiągnięć. Tylko pozornie. Żywym wcieleniem tego paradosu jest postać bohatera tytułowego Lutka Danielaka, rzucający się z wnętrza w mroźną wodę renowowanego w swej półświatkowej środowiska estrady — to na pierwszy rzut oka osobnik doskonale wiedzający do czego zmierzają. Jego działania są więc jedynie prostą konsekwencją zasady „cel uświęca

środk”. Danielak jest aż tak gorliwym jej wyznawcą, że puszcza mimo oczu fragmenty akcji szczególnie dobitne, które z punktu widzenia życiowego prawdopodobnie w sposób najbardziej nieautentyczny. Świat bohatera dzieli jego miśskachów na bawionych i rozbawiających. Ci ostatni mają te wyższość nad pozostałymi, że nikt nie każe im wierzć w spontaniczność karnawałowych piasów. W pierwszej scenie filmu Danielak przypomina wykwalifikowanego pracownika PGR spieszącego na posterunek. „Proste słowa la la la...”, są równie skuteczne i kategoryczne, jak machnięcie rybą. Dają się stosować do wszystkich zawsze i wszędzie z gwarantowanym rezultatem. Co więcej inny, ale zawsze jednakowy i jednakowo niedopity tuśm laktne rozrywki. Laktnienie jest tak silne

i niezindywidualizowane, że daje się zaspokoić każdym pokarmem. „Niewymuszona”, spontaniczna zabawa jest naturalna jak proces trawienia — również jak trawienie niezależne od woli i świadomości. Rozbawiani są bierni; nie mają i nie odczuwają potrzeby jakiegokolwiek wyboru. Ich cecha naturalna jest oczekiwanie i stała — fizjologiczna wręcz gotowość do bycia poprowadzonym w bawionym wozu.

W tej sytuacji społeczna postać Lutka Danielaka naturalnie pozwala na wprowadzenie pojęć określających jego odmienną, wręcz wyjątkową. Można więc mówić o jego aktywności i przebiegłości. Bohater zdaje sobie także sprawę z własnej wartości w wykonywanej roli. Bo czyż można nie być lepszym od Majerów i Myśliwców? Równie, jak nie można być gorzej. Oczywiście jest jednak, że o sukcesie decydująca zupełnie inne względy. Przecież świat nie przyjmuje w swój obszar sukcesu, co miałyby związać z tradycyjnie pojmowanymi wartościami autentycznymi. Nieautentyczna jest — rozemniaczona i w frakcie — funkcja, która spełnia bohater na parkiecie — a także poza nim. Nigdzie zresztą nie jest to cecha określana. Nieautentyczność, udawanie, oszok są tak powszechne, a zarazem opłacalne funkcjonalnie — że Danielak dopiero wówczas, gdy podejrze-

wamy go o szczerze wygląda najbardziej fałszywie. Całkowite przystosowanie się do rzeczywistości nie musi być jednak zawsze uznane za rezultat świadomego wyboru. Bo czyż może być tu mowa o stratach i zyskach? Miłość, przyjaźń, uczciwość, to nie są wartości, które gubi bohater w swojej szaleńczej gonitwie od telefonu w przerwie pomiędzy występami do kolejnego świadka. Związki łączące Danielaka z innymi, tylko obserwatorom, tylko zewnętrznie wydają się być czymś kryjącym pod powierzchnią jakąś nieoczekiwaną Lutkową prawdę. To jedynie atropy, które czasem mogą się przydać. Nawet uczciwość wobec siebie samego, godność nieścisza się w graniach wyznaczonych przez fizjologię. Danielak nie sprzedaje się powtarzanie pani Meli wyłączenie z tych powodów. Z drugiej strony zwycięstwo: to tylko zmiana fioletowa, a nie jakościowa. Wielki telewizyjny wodzirej Lutka rozbawia nie sto osób, ale parę milionów metodami, ani gorzej ani lepiej niż od Lutkowych. Tak jak nieautentyczność jest naturą Danielaka (a więc jest nieautentycznością z krwi i kości), jest nią również ciębia, uporczywa dążność do bycia liderem. Tak jak naturalny jest dla niego jej samobójczy lot do lampy.

Instynkt kształtowany jest przez warunki. Rozum jest niezależny od woli

Lutka Danielak jest więc — chcąc nie chcąc — istotą momentalną na tyle refleksyjną, by w półpajackim monologu spojrzeć na swoją sytuację z boku. Ale ta samoświadomość nie jest w stanie niczego zmienić, jest zupełnie bezużyteczna, może natomiast przeszkadzać. Danielak jest konformistą, któremu ma prawo się wydawać, że kto, jak kto, ale właśnie on najbardziej decyduje o swoim losie. Zrezygnuje konformizmu, jeśli zwykłe z początkowej epoki. Natomiast przystosowanie Falkowego wodzireja jest stare, jak on sam.

Tak jak bohater z rutyną wprawia nie-mrawa salę w jednostajny rytm tańca, tak wizja wielkiej imprezy powoduje u niego automatyczny instynktowny ped. Bierność karnawałowego filmu i aktywność wodzireja, poddanie i „przebijanie się” są tymi samymi, równoprawnymi cechami różnych żywych organizmów. W ostatniej scenie — scenie najwspanialszej symbolizacji odmiennych, a zarazem jakieś podobnych zatknięć — zjawia się na scenie inny wodzirej, ale przecież ktoś z obcego balowej sali świata. Jeden moment — i człowiek puszcza wszystkim zabawę.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

To był ostatni z trzech samolotów wiozących polską delegację na XI Festiwal Młodzieży i Studentów w Hawanie. Na lotnisku ostatnie pożegnania i kilka minut po dziesiątej wieczorem Il-62 oderwał się od pasa startowego zacinając tym samym naszą kubańską przygodę. Dla wielu był to pierwszy lot samolotem, dla większości pierwszy przelot nad Atlantykiem. Pierwszy etap to trasa z Warszawy do Nowej Funlandii, gdzie przewidziano lądowanie techniczne dla uzupełnienia paliwa. Prawie siedem godzin w powietrzu z tego trzy godziny 45 minut lot nad oceanem.

Z samolotu wyszliśmy dopiero w Montrealu, gdzie przerwa w locie trwała blisko dwie godziny. Podzieliliśmy rozległe lotnisko Mirabelle, chociaż o drugiej w nocy było ono zupełnie wyludnione, a najbliższy samolot rejsowy miał stąd odlecieć dopiero o 13.30.

Wreszcie pod nami Kuba. Zapowiedź o przygotowaniach do lądowania wzmagała chęć zobaczenia, choć przez niewygodne okna samolotu tego egzotycznego dla nas zakątka świata. Nawet z dużej wysokości można było dostrzec palmy. Rano rzuciły one widoczne z góry cienie, których już za kilka godzin, gdy słońce znalazło się prawie dokładnie nad nimi nie będzie można oglądać. Nad Hawanę kolujemy ponad piętnaście minut gdyż niewielkie lotnisko Jose Martí z trudem może pomieścić liczne przylatujące w tym samym czasie samoloty z delegatami.

O tym co będzie nas czekać w niezwykłym dla nas klimacie, poinformowano nas dość dokładnie. Przez dwa tygodnie na zgrupowaniu w Warszawie, wszyscy delegaci „pobierali nauki” polityczne i kulturalne, dopasowywali festiwalowe stroje i poznawali (na odległość) egzotyczną Kubę. Nasz kontakt z festiwalową organizacją zaczął się jeszcze wcześniej, kiedy to wzywano nas do Warszawy, aby tam sztab krawców „zdjął” z nas dokładną miarę, zmierzyl obwód głowy dla dopasowania kapeluszy i obrys stopy, aby buty, które dostaniemy były ze wszech miar wygodne.

Zgrupowanie warszawskie dało w 33 spotkaniach potężną porcję wiedzy o tym co dzieje się aktualnie na świecie, a niezwykle bogaty program kulturalny w 99 imprezach zaprezentował wiele z tego co aktualnie może świadczyć o polskim dorobku w tej dziedzinie.

Program dnia rozpoczynał poranny apel organizowany w wielkiej hali AWF, wyłożonej dla bezpieczeństwa i dekoracji zieloną wykładziną. Przed południem zarezerwowano czas na spotkania polityczne. Po obiedzie odbywały się lektoryaty (szczególnie hiszpańskiego), nauka tańca, nauka śpiewu i program kulturalny, który trwał do północy. Funkcjonowało kino z dwoma seansami dziennie, odbywały się spotkania z aktorami i literatami, ludźmi radia i telewizji. Dla chętnych codziennie w klubie „Relax” odbywała się dyskoteka. Poznawaliśmy się więc nawzajem, poznawaliśmy Kubę, która przez następne dwa tygodnie miała być miejscem naszych działań. Praca „na zgrupowaniu” spoczywała na barkach poszczególnych delegacji wojewódzkich, układ tak został ustalony także w czasie trwania festiwalu. Łódzka delegacja szybko stworzyła delegację z prawdziwego zdarzenia co ułatwiało późniejsze działania.

Jak mówili organizatorzy po tym „obozie kondycyjnym” mieliśmy być pod każdym względem przygotowani do trudów festiwalowych, o których wiele się mówiło. Te trudności przed wszystkim klimat. Wiodzieliśmy jaka będzie temperatura, jaka wilgotność powietrza, tylko że te teoretyczne informacje poza obawą nie dawały ostatecznej świadomości co nas czeka.

Kiedy podano, po wylądowaniu na lotnisku hawańskim, że temperatura powietrza wynosi 33 stopnie, zrobiło nam się jakoś lekko. Przecież taka temperatura nawet w Polsce nie stanowi żadnej zawiady. Zdumienie nadzieje. Gdy wyszliśmy z klimatyzowanego wnętrza samolotu znaleźliśmy się niczym w łaźni parowej. Wilgotność powietrza, nawet przy tej pozornie niskiej temperaturze mocno daje się we znaki. Przejście z samolotu do gmachu lotniska wystarczyło abyśmy byli, bez przesady, zani potem. Do tortur zaliczaliśmy pierwszą jazdę autokarami do wioski festiwalowej.

Jasne, atrakcyjne architektonicznie budynki, wkomponowane w różnorodną i bogatą zielen, widać było już na kilka kilometrów. Zbudowano je niczym w oazie drzew pośród rozległych pól trziny cukrowej około 15 kilometrów od centrum Hawany. Ta festiwalowa wioska zaraz po zakończeniu festiwalu zostanie przekształcona w osiedle akademickie toteż i lokalizacja tuż obok gmachów politycznych była ze wszech miar uzasadniona. Autokary zatrzymały się przed wejściem do wioski, a dwa szpalery kubańskich pionierów gorąco witano nas Polaków jako jedną z pierwszych delegacji, która przybyła do tego właśnie miejsca zakwaterowania. Tu będziemy mieszkać razem z delegatami Bułgarii, Rumunii, Laosu, Mongolii i Wietnamu.

Wszystko co pierwsze w takim



Foto: Archiwum

MACIEJ ŁUKOWSKI

CUBA 78

(notatnik festiwalowy)

wyjazdach wzbudza szczególne zainteresowanie. Kubańcy przez cały czas, przez te pierwsze godziny naszego pobytu otaczali nas szczególną troskliwą opieką, wręcz szokowali precyzją organizacyjną. Po pierwszym śniadaniu rozpoczęła się akcja zakwaterowania. Domy akademickie zbudowane były z odrębnych klatek schodowych, z których, na każdym piętrze wchodziło się do dwóch odrębnych pomieszczeń. To nasze miejsce pobytu w czasie festiwalowych dni. Każde z pomieszczeń składało się z dwóch pokoi, w których umieszczono po cztery osoby. Miejsca zbyt dużo nie było, ale przecież byliśmy tam zaledwie kilka godzin w czasie krótkiego snu. Zaletami tych pomieszczeń były natryski, po dwa w każdym. Już następnego dnia przekonaliśmy się jakie to ważne wyposażenie w tym klimacie. Pociiliśmy się ogromnie i trzykrotnie wejście pod natrysk obok częstego korzystania z basenu było rzeczą zupełnie normalną. Zakwaterowanie zostało zakończone w ciągu dosłownie kilku minut. Okazało się, że oprócz precyzyjnego przydziału pokoi, o którym wiedziliśmy już w Polsce, to na każdym drzewie gospodarze przyczepili indywidualne wizytówki, aby przez cały czas trwania festiwalu bez trudu można było każdego odnaleźć. To wzajemne odnajdywanie i poznawanie to jedna z podstawowych rzeczy na tak wielkich imprezach. W czasie zgrupowania warszawskiego nosiliśmy „identyfikatory” z nazwiskiem i imieniem oraz nazwą województwa. W ten sposób (a panowała zasada zwracania się wyłącznie po imieniu) poradziliśmy sobie szybko z niezręczną anonimowością.

Jesteśmy więc na Kubie, w miasteczku a właściwie wiosce festiwalowej. Pierwszy dzień niósł ze sobą niepokojące klimaczenie, jak będziemy znosić te niesamowite temperatury? Tego dnia czekał nas jeszcze wyjazd do klubu polskiego, naszej „ambasady festiwalowej”, gdzie będzie odbywać się większość „polskich imprez”. Klub zlokalizowano na samym wybrzeżu. Wspaniały widok ukazał się naszym oczom kiedy przestąpiliśmy jego próg. Dwa baseny, dwa moła okalające niewielką zatokę, sala reprezentacyjna gdzie odbywać się będą wszystkie ważne spotkania międzynarodowe i mały amfiteatr, gdzie codziennie wieczorem odbywać się będą polskie koncerty. Przed klubem ogromny napis Polonia był informacją, że tu znajduje się kawałek polskiej ziemi.

Do Hawany przyjeżdżaliśmy 25 lipca. 26 razem z Kubańczykami obchodziliśmy ich święto narodowe. Za dwa dni 28 lipca rozpocznie się XI Festiwal Młodzieży i Studentów. Polska delegacja swój pierwszy występ, razem ze wszystkimi festiwalowymi delegacjami mieć będzie właśnie 28 lipca na sta-

dionie latynoamerykańskim w wielkim przemarszu w czasie uroczystości otwarcia. Przygotowaliśmy się do tego momentu bardzo solidnie. Codziennie odbywały się przynajmniej dwie próby. Przecież to tak istotne jak „wejście” w ten tak ważny festiwal. Przed nami 9 festiwalowych dni.

Historia białoczerwonych parasoli zaczęła się na lotnisku w Warszawie. Okazało się, że nie możemy zostawić ich przy podstawowych bagażach, gdzie wszyscy się świadomie umieszcili, ale musimy zabrać je ze sobą jako bagaż podręczny. Były długie i tym samym niewygodne, do tej pory jeszcze nie używane. Pierwsza próba korowodu, która odbyła się na obszernym placu przed klubem polskim zmieniła koncepcję przemarszu grupy polskiej. W Warszawie ćwiczyliśmy wariant z ogromnymi szarfami, które w precyzyjnym układzie miały zmieniać swe położenie. Potrzeba by zespołu baletowego lub kompanii wojska, aby tą koncepcję dobrze zrealizować — stwierdził reżyser wszystkich polskich imprez kulturalnych na Kubie i szybko przeszedł na wersję z parasolami i kwiatami. Teraz parasole zaczęły odgrywać istotną rolę w naszym kubańskim życiu. Na próbach stanowiły podstawowy element dekoracyjny, a później na wszystkich mityngach chroniły od słońca i były wspaniałą wizytówką grupy polskiej tym samym najbardziej widocznej wśród wielotysięcznych tłumów 180 osób (bo tyle wybrano do grupy maszerującej) w takt znanej pieśni „Marsz, marsz Polonia...”. W festiwalowych strojach polska grupa trenowała ten dwa-trzyminutowy moment przejścia przed trybuną imprezy inauguracyjnej.

Chcieliśmy, żeby przejście wypadło jak najlepiej, pomagali także ci którzy mieli zasiadać na trybunach i manewrami parasoli tworzyć układ wspólny, grupa maszerująca — trybuna. Nie zawsze jednak chęci potrafią przezwyciężyć trudności klimatyczne. Temperatura sięgała 46 stopni. Tolerancja organizatorów pozwoliła na przeniesienie prób pod podcienia koło basenu a strój zamienić na kąpielówki. Ostatnia próba odbyła się już w wiosce w pełnej gali. Nasi sąsiedzi wylegli koło stołówek aby obserwować trenujących Polaków. To był 28 lipca 1978 roku. O godzinie 14.30 główna komenda festiwalu ogłosiła stan gotowości we wszystkich wioskach festiwalowych. Kilka godzin wcześniej odbyła się uroczystość oficjalnego otwarcia naszej wioski w czasie której mieliśmy okazję sprawdzenia naszego przygotowania w zakresie poznania tekstów piosenek i wytrenowania siły głosu. Duch w delegacji zapanał przedz wojny i trudno było in-

nym delegacjom dojść do „śpiewającego” głosu.

O piętnastej wyjechała ta część delegacji, która będzie defilować na stadionie. To oni przemarszerują wzdłuż hawańskiego Malekonu, czyli wielkiej nadbrzeżnej promenady, na której odbywają się synne kubańskie karnawały. Pozostała część wyjechała w godzinę później udając się prosto na stadion. Była to pierwsza wielka operacja festiwalowa. Przeglądaliśmy się więc bardzo dokładnie sprawności organizacyjnej Kubańczyków. Przywieziono nas na miejsce półtorę godzinę przed imprezą. To nas zbytnio nie dziwiło, my też tak przecież robimy. Kiedy wchodziliśmy na stadion, nagle (zgodnie z tropikalną tradycją) lunął deszcz. Bez przesady lunął, tony wody zalały stadion i wszystko dookoła. Na ogromnym brezentie przykrywającym płytę stadionu utworzyły się wielkie kałuże. Silny wiatr wdmuchiwał powietrze pod brezent tworząc „góry”. W takich warunkach inauguracja nie może się odbyć. I wtedy zaczęło się widowisko jedyne w swoim rodzaju, fascynujące dla nas właśnie ze względu na szansę poznania sprawności organizacyjnej Kubańczyków.

Kilkadziesiąt osób z obsługi stadionu przystąpiło do ratowania sytuacji. Działanie zaczęło planowo i realizowano bardzo konsekwentnie. Wykorzystując wzniesienia wypompowano powietrzem, szereg posuwających się powoli ludzi przesuwali wodę w jedną stronę. Spływała ona po przeciwnej niż ta naciskana, strone powolnych wzniesień aż zlokalizowana koło bandy została wyprowadzona przy pomocy specjalnych „popychaczy” poza obręb stadionu. I wtedy okazało się, że Kubańcy są bardzo przewidujący. Ten zamoczony brezent był tylko przykryciem zewnętrznym pięknej wykładziny pomalowanej w równe kwadraty, niezbędne przy późniejszych pokazach gimnastycznych. Ściągnięto więc warstwę przykrywającą i oczom oczekujących ukazała się w całej krasie przygotowany do uroczystości inauguracyjnej stadion.

Właśnie zbliżała się godzina otwarcia. Dokładnie na pięć minut przed ostatecznym terminem obsługa porządkująca zeszła ze stadionu. Siedzieliśmy na samej koronie stadionu. Widzieliśmy więc to co dzieje się na stadionie i to co odbywa się poza nim. Zapewniał się specjalny parking na którym zatrzymały się samochody rządowe. Czekano na przyjazd Fidela Castro. Samochód wreszcie się pojawił, ale wjechał do wnętrza stadionu bez zatrzymywania. Był to znak, że za chwilę wszystko się zacznie.

Fidel Castro przy owacyjnych brawach zasiadł na trybunie. Zabrzmiał hejnał i półtora tysiąca kubańskich chłopców wybiegło na płytę stadionu. Stworzyli jakby dekorację do tego

co miało być najważniejszą treścią inauguracji. Głównym wejściem wjechał na stadion jeźdźcy w stylowych kapeluszach z szerokimi rondami, trzymając flagi poprzednich organizatorów festiwalu młodzieży i studentów. Wśród nich także flaga polska przypominająca spotkanie młodzieży w roku 1955 w Warszawie.

Wreszcie pojawiają się delegacje narodowe. Bardzo dokładnie przyglądamy się wszystkim defilującym przed trybuną. Mimo woli porównujemy je z tym co ma zaprezentować delegacja polska, a co znamy dokładnie z prób generalnych. Długo musimy czekać na ten moment, kiedy pojawi się na stadionie chorągiew polskiej delegacji. Przed nami ponad 100 narodowości. Polaków na stadionie jest dużo, obok grupy delegatów przyjechała także grupa turystyczna pod kierunkiem Mirka Czesnego. Zajęli miejsca tuż obok wejścia głównego i oni pierwsi zobaczą naszych. Ponad dwie godziny musieliśmy czekać na przejście naszej delegacji. Na stadionie robiło się coraz ciemniej, zapalono nawet sztuczne światła. Wreszcie są, wysoko niesiona polska flaga, jeszcze między głowami najniższych rzędów świadczy o zbliżającym się dla nas najważniejszym momencie. W takich sytuacjach emocjonalne zaangażowanie całej grupy jest ogromne. Przecież tak bardzo chcieliśmy aby wszystko było jak najlepiej. Trochę spóźniła się muzyka. Polacy zbyt daleko weszli na płytę gdy zabrzmiały dźwięki „Marsz Polonia...”. Szybko jednak zareagowali i wchodząc przed samą trybunę zastosowali najbardziej widowiskowy element z otwartymi parasolami. My na trybunach też nie dostosowaliśmy się do pierwotnych założeń i już gdy ujrzeliśmy polską flagę poszły w górę rozłożone parasole i jak tylko mogliśmy najpotężniej zaintonowaliśmy „Marsz Polonia...”. To była potężna polska manifestacja. Grupa defilująca odróżniała się od innych dyscypliną przemarszu, efektami plastycznymi i tym, że nie zakończyła programu tuż po przejściu trybuny, ale kontynuowała go do samego końca, do opuszczenia stadionu. Reakcja stadionu była długo trwającą owacją. Było nam przyjemnie. Pierwszy moment dla nas najważniejszy za nami. Zostaliśmy przyjęci bardzo dobrze. Sympatia Kubańczyków objawiła się także w przemarszu ulicami Hawany. Reakcje były wręcz szokujące, a okrzyk Polonia trwał niemal bez przerwy. Delegacje po przejściu przed trybuną opuszczały stadion, pozostawiały tylko chorągiew i tabliczka z nazwą kraju.

Kończy się część pierwsza, kończą się przemówienia, zaczyna się wielki pokaz gimnastyczny. W tle żywa trybuna złożona z 5 tysięcy uczniów. Każdy trzyma ogromną książkę z różnokolorowymi kartkami. Na sygnal prowadzącego otwiera ją w odpowiednim miejscu dając efekt zmieniających się obrazów. Do tego kolorami grają także koszulki a także barwne chusty, których używają w niektórych wariantach. Pokaz gimnastyczny przekazywała polska telewizja. Widowisko wspaniałe, gigantyczne, ale pierwsza jej część zaskoczyła nas bardzo. Na płycie stadionu weszło 1.200 żołnierzy niosąc pod pachą coś białego. Gdy zbliżyli się, okazało się, że są to 3-4 letni chłopcy, których ustawiono w idealnej szachownicy na środku stadionu. To oni w takt programu muzycznego wykonywali swoisty pokaz inscenizowanych dziecięcych zabaw. Najbardziej fascynujące było ich naturalne zachowanie. Gdy na płytę spadała mała chorągiewka, to dwóch malców nie krępując się doniosła do imprezy, po prostu się o nią pobito. Wspaniały pokaz zakończył zgodnie z karnawałową kubańską tradycją pokaz sztucznych ogni.

Gdy przed ponad 5 godzin oglądaliśmy widowisko otwarcia festiwalu zastanawialiśmy się jak organizatorzy rozwiąza problem powrotu delegatów do swoich miejsc zakwaterowania. Nasze wątpliwości jeszcze bardziej urosły gdy wszystkich wypuszczono ze stadionu i skierowano główne na ulicę w kierunku placu rewolucji. Zbliżała się północ wielotysięczny, różnorodny tłum (w części kubańskiej zupełnie roztańczony) przesuwali się w bloku w kierunku gmachu Komitetu Centralnego co wcale nie dawało jeszcze żadnych oznak w jaki sposób organizatorzy zamierzają uporządkować i rozłożyć poszczególne delegacje. I znowu zaskoczenie. Na placu rewolucji, który jednocześnie może pomieścić ponad milion osób, ustawiono wielkim wachlarzem ponad 800 autokarów (bo tyle uczestniczyło w każdej wielkiej imprezie festiwalu). Podzielono je na delegacje i każdy z nas bez trudu odszukał swoje i zrozumiał szanse zakończenia imprezy. To było przeżycie dużej miary. Impreza otworzyła festiwal a jednocześnie już na początku była świadectwem jego późniejszego sukcesu.

Przekonaliśmy się o tym jeszcze kilkakrotnie.

cdn.

U PRZYJACIÓŁ

Coraz większą popularnością i zainteresowaniem cieszą się książki polskie za granicą. Co roku do 60 krajów na wszystkich kontynentach docierają miliony polskich książek naukowych, technicznych, beletrystycznych, encyklopedii i słowników. Najwięcej wydawnictw eksportujemy do ZSRR i europejskich krajów socjalistycznych. Głównymi odbiorcami w krajach kapitalistycznych są USA, Kanada i Szwecja. Ostatnio wzrósł również import książki zagranicznej do Polski.

Wobec rosnącego zainteresowania naszymi publikacjami, będącymi nie tylko źródłem wiedzy o polskiej kulturze, ale także źródłem rzetelnej informacji o Polsce współczesnej, nasi wydawcy oraz importer i eksporter książek — CHZ „Ars Polona” dąży do zapewnienia możliwie najszerszej informacji o nowościach ukazujących się spod pras drukarskich w Polsce. Oprócz wydawanego w czterech językach miesięcznika — „Nowości Polskich Wydawnictw”, uchodzącego za jeden z najlepszych informatorów księgarskich w Europie uczestniczymy z książką w różnych imprezach kulturalnych i gospodarczych, organizujemy liczne wystawy książek polskich w świecie.

W ZSRR np. dokąd w bieżącym roku eksportujemy ok. 2 mln książek, odbywa się w br. 21 „dekad polskiej książki”. W różnych ośrodkach Kraju Rad — od Brześnia po Nowosibirsk organizowane są wystawy naszych książek połączone ze sprzedażą. Największą tegoroczną taką imprezą była wystawa polskiej książki w Bibliotece Literatury Zagranicznej w Moskwie, zorganizowana z okazji Święta 22 Lipca. Towarzyszyła jej sprzedaż polskich nowości wydawniczych w księgarni „Drużba”. Jest ona rekordzistką w dziedzinie popularizacji polskiej książki. Już w najbliższych miesiącach sprzeda bowiem 7-milionowy egzemplarz naszej książki. Książka polska eksponowana była także w Alma Acie z okazji wielkiej polskiej wystawy gospodarczej w tym mieście. Największą jednak prezentacją polskiej książki w ZSRR odbędzie się w roku przyszłym z okazji II Międzynarodowych Targów Książki w stolicy ZSRR.

Wystawy polskich książek odbywają się także w innych krajach socjalistycznych, m. in. w polskich ośrodkach kulturalnych w Berlinie, Budapeszcie, Pradze i Sofii. Nasz dorobek wydawniczy prezentowaliśmy w br. również w Paryżu i w Lille na targach gospodarczych, w Augsburgu w RFN z okazji „Dni Polskich”, a obecnie odbywa się ekspozycja na kanadyjskiej wystawie narodowej w Toronto.

Szczególną jednak uwagę przywiązują nasi wydawcy do zaprezentowania swego dorobku edyckiego na międzynarodowych targach książki w różnych krajach. W br. polskie oficyny uczestniczyły już w tego rodzaju imprezach w Lipsku i Brukseli. Były też gospodarzami Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie, jednej z największych imprez księgarskich w Europie.

Nasze wydawnictwa dla dzieci były eksponowane na międzynarodowych targach książki w Bolonii. W br. uczestniczyć będziemy jeszcze w międzynarodowych targach książki w Belgradzie, Sofii i Frankfurtu (RFN). Te ostatnie, odbywające się w dniach od 18 do 23 października, uchodzą za największą międzynarodową imprezę handlu książką w świecie. Oprócz centralnej — narodowej ekspozycji książki polskiej wystąpią tam oficyny wydawnicze: PWN „Ossolineum”, Arkady, WNT, „Nasza Księgarnia”, KAW i Agpol. Łącznie przygotowały one do zaferowania zagranicznym odbiorcom ok. 1500 tytułów. Są wśród nich prawdziwe wydawnicze rarytasy, takie jak np. „Historia literatury polskiej” Krzyżanowskiego wydana po raz pierwszy w tłumaczeniu angielskim przez PWN, „Polski słownik biograficzny”, czy „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych ziem słowiańskich”. Te ostatnie pozycje są reprintami z nielicznych egzemplarzy, które ocalały po wojnie i stanowią obecnie przedmiot żywego zainteresowania zarówno uczonych, jak i bibliofilów.

Zainteresowanie polską książką w świecie — mówi dyrektor naczelny CHZ „Ars Polona” Janusz Palacz — jest duże. Pomimo znacznego wzrostu naszego eksportu nie jesteśmy jednak w stanie zaspokoić popytu na polską książkę w świecie. Limitują nasz eksport potrzeby rynku wewnętrznego i możliwości techniczne wydawców. Wydaje się jednak, że przy zastosowaniu odpowiedniej zachęty dla wydawnictw można by jednak jeszcze bardziej zwiększyć eksport. Warto by również poważnie pomyśleć o wydawaniu w kraju przekładów naszej literatury pięknej. Doświadczenia z książką wydaną w językach obcych są bardzo zachęcające. W Anglii np. błyskawicznie rozszły się albumy „Polska” i „Malarstwo Kossaka” oraz 12 tys. egzemplarzy „Kuchni polskiej” wydanych po angielsku.

O codziennym życiu w Republice Południowej Afryki decyduje się nie tylko w Pretorii, lecz także w Rodezji, Namibii, Waszyngtonie, Londynie. Bogactwa tego kraju, który dysponuje chyba wszystkim z wyjątkiem nafty, wzbudza apetyty ukrywane częstokroć pod maską humanizmu. RPA z jej przestronnymi, zielonymi polami, brunatnymi szczytami gór, z żyznymi dolinami od których wieje biblijny spokój, jest dla jednych ucieleśnieniem raju, dla innych — symbolem rasizmu, gdzie prawa człowieka całkowicie zależą od koloru jego skóry.

RPA jest typowym wzorcem politycznego państwa, opartego na bezlitosnej eksploatacji klasy robotniczej. Afrykańską ludność pozbawiono wszelkich praw politycznych, prawa łączenia się w stowarzyszenia, swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce, robotnikom — Afrykanom, którzy dźwigają na swych barkach główne brzemie społeczeństwa apartheidu zabroniono tworzenia związków zawodowych i organizowania strajków. Reżim RPA stworzony przede wszystkim w celu zapewnienia siły roboczej właścicielom kopalń, fabryk i farm. Tani rynek afrykańskiej siły roboczej zawsze był podstawą szybkiego ekonomicznego rozwoju kraju. Żeby zapewnić bezlitosną eksploatację Afrykanów, zachować strukturę władzy, która istnieje dotychczas dzięki tej eksploatacji, reżim apartheidu nieustannie podtrzymuje i pogłębia rozłam w południowoafrykańskiej klasie robotniczej. Ustawa o przepustkach jest podstawą systemu wyzysku. Dzięki niej władze regulują i kierują masą Afrykanów do kopalń, fabryk i farm. Obok tego, pozbawiając Afrykanów prawa stałego miejsca zamieszkania w rejonach miejskich, władze tworzą w ten sposób armię migrujących robotników, którą, w miarę potrzeby, można kierować do dowolnych rejonów kraju. W konsekwencji ich los jest całkowicie uzależniony od kaprysów pracodawców. Jak na łamach prasy fińskiej informuje generalny sekretarz Południowoafrykańskiego Kongresu Zw. Zawodowców, J. Gaetsebe, ani jeden Afrykańczyk bez zezwolenia biura pracy nie ma prawa opuścić rezerwatu, a zezwolenia wydaje się tylko wtedy, gdy napływają zamówienia na robotników do właścicieli kopalń, fabryk czy farm. Kiedy kontrakt, zawierany zazwyczaj na rok, wygasa, robotnicy muszą powrócić do domów i czekać na nowy. Jeśli wolnych miejsc pracy nie ma — na dzień dzisiejszy w RPA jest co najmniej 2 miliony bezrobotnych Afrykanów — są obowiązani pozostać w rezerwach, w których nie mają ani pracy, ani środków do egzystencji.

Łącznie z tą ustawą rząd ma prawo wydalać z miejskich rejonów tzw. elementy niepożądane — kobiety, dzieci i starców, inaczej mówiąc — wszystkich, którzy z tych lub innych powodów są niezdolni do pracy. Usurwa się także „niepożądane bantui”, tj. Afrykanów podejrzanych o dokonanie przestępstwa, przede wszystkim o charakterze politycznym. Groźba wysiedlenia ma być efektywnym środkiem utrzymywania „discypliny i porządku” w przedsiębiorstwach oraz zastraszania politycznych demonstrantów. Robotnika występującego z żądaniem podwyższenia zarobków lub polepszenia warunków pracy uważa się za agitatora i może on być wysłany do rezerwatu jednym pociągciem pociągu.

Przez całe dziesięciolecie udział Afrykanów w strajkach kwalifikowano jako przestępstwo kryminalne. Jednakże w wyniku masowego ruchu strajkowego afrykańskich robotników w Durbanie w latach 1972—1973 rząd był zmuszony pójść na ustępstwa, ale oczywiście bardzo nieznaczne. Odtąd, teoretycznie, Afrykanie mają prawo do strajku, ale jest ono obwarowane takim mnóstwem klauzul, że — praktycznie rzecz biorąc — jest ono niemożliwe. Żeby móc utrzymać w rękach robotników, studentów i inne patriotycznie nastawione warstwy afrykańskiego społeczeństwa, rząd stosuje przede wszystkim przemoc i terror. Przypomnijmy choćby niedawne (1976 r.) wystąpienia Afrykanów w Soweto, Kapsztadzie i innych rejonach kraju, krwawo stłumione przez policję i wojsko. Według nieoficjalnych danych zginęło wówczas ponad 600 południowoafrykańskich Murzynów.

Od momentu dojścia do władzy

RPA

OBYWATELE NA PRAWACH NIEWOLNIKÓW

w 1948 roku, nacjonalistyczny rząd RPA wydał cały szereg ustaw, dążąc do stworzenia takiej sytuacji, w której polityczne i ekonomiczne dźwignie władzy zawsze spoczywałyby w rękach 4-milionowej białej mniejszości. I tak np. biali, którzy stanowią obecnie około 17 proc. ludności „przdyzielił” sobie 87,1 proc. terytorium RPA, włączając do tego wszystkie miasta, ośrodki przemysłowe, porty, kopalnie i najbardziej żyzną ziemię. Do Afrykanów stanowiących przynajmniej część ludności należały zaledwie 12,9 proc. ziemi...

W ciągu ostatnich lat pewne zewnętrzne oznaki apartheidu w RPA zeszły w cień, ale trzy „wielorosowe” kabarety w Johannesburgu, gdzie biali „bawia się razem z czarnoskórą młodzieżą, nie są w stanie kogoś przekonać, iż w kraju „zachodzą głębokie przemiany”. Być może, iż pod naciskiem czynników zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, to i owo uległo zmianie, ale najważniejsze pozostało: nietykalność przywilejów białej społeczności jest nadal fundamentem polityki rządu RPA. Minister „stosunków wielorosowych”, Cornelius Mulder, którego uważa się za drugiego człowieka w rządzie RPA, uzasadnia swoje tezy z niesłychaną pewnością siebie: „Południowa Afryka, tak jak i Zachodnia Europa, składa się z narodów zupełnie różniących się językiem i kulturą oraz wzajemnie uzależnionych”. Jak utrzymuje Mulder, „narody czarnych szybko pójść w ślady bantustanu Transkei i ogłosić niepodległość. Jeśli zaś chodzi o społeczność białych, to ona także stworzy swoje państwo, które przyjmie nazwę Southland...”

Za napuszonymi dywagacjami Muldera odczuwa się wyraźny strach przed tym, że „jeśli czarnym nie da się niepodległości, to oni zażądają od nas wprowadzenia w życie zasady: jeden człowiek — jeden głos”. Mulder nie dopuszcza nawet myśli o stworzeniu państwa wielonarodowego.

Wego. A zatem państwka czarnoskórych? Ale przykład bantustanu Transkei świadczy, iż owe „państwka” nie są zdolne do samodzielnej egzystencji, uzależnione całkowicie od Pretorii. Wódz Gatsa Butelezi, premier bantustanu Kwazulu, nie ukrywa wrogiego stosunku do apartheidu. Uważa on, że jeżeli Vorster nie wykaże ustępliwości, możliwy jest wybuch. Ten tradycyjny wódz, wystawiony na silne naciski zarówno ze strony „białej władzy” jak i afrykańskiej młodzieży, wypowiada się za społeczeństwem wielonarodowym. Mówi on m.in.: „Południowoafrykańska ekonomika bez Afrykanów jest skazana na zagładę”. I to nie ulega wątpliwości.

Niektórzy przedstawiciele kół przemysłowych rozumieją, iż ekonomiczny rozwój RPA jest niemożliwy bez równoczesnego podnoszenia zawodowych kwalifikacji afrykańskich robotników. Wielu działaczy białej mniejszości uznaje konieczność po-

USA KRYTYKA POLITYKI RZĄDU

Dążenie Stanów Zjednoczonych do wykorzystywania handlu jako instrumentu politycznego nacisku na Związek Radziecki wzbudza szerokie niezadowolenie przemysłowych kół w USA. Członkowie amerykańscy przedsiębiorcy uważają, że jest to bezużyteczny manewr, przynoszący duże szkody ekonomiczne USA, który w dodatku otwiera pole do działania amerykańskim konkurentom handlowym. Oto co pisze na ten temat (tekst zamieszczamy w skrócie — red.) ekonomiczny obserwator gazety New York Times:

Oficjalne porozumienie radziecko-amerykańskie w sprawie handlu zawarto 6 lat temu. Na drodze tego handlu co raz wylaniały się jakieś polityczne przeszkody. Obecnie grozi temu porozumieniu wyjątkowo niebezpieczeństwo. Do takiego wniosku jednomyślnie doszli zaniepokojeni tym faktem biznesmeni i specjaliści w dziedzinie handlu, którzy bezpośrednio prowadzą interesy ze Związkiem Radzieckim. Przedstawiciele handlowych kół USA wyrażają opinię, iż działalność amerykańskiej administracji — w lipcu prezydent Carter anulował wielki kontrakt na sprzedaż Związkowi Radzieckiemu elektronicznych maszyn obliczeniowych i wprowadził rządową kontrolę nad eksportowymi licencjami dotyczącymi wielkich dostaw techniki wiertniczej — zagraża kontaktom między obu krajami, i tak jeszcze nie dość okrzepniętym.

Technika obliczeniowa i urządzenia do wydobywania ropy naftowej odgrywają ważną rolę w planach dalszego ekonomicznego rozwoju ZSRR, a Stany Zjednoczone w tych dziedzinach przewyższają swoich zachodnich konkurentów. Ta przewaga jednak nie jest znów aż tak duża, żeby zmusić Rosjan do zrezygnowania z zakupienia niezbędnej dla nich techniki w jakimś innym kraju — twierdzą obserwatorzy niezadowoleni z ostatnich decyzji administracji Cartera. Praktycznie, wszystko czego potrzebują Rosjanie mogą oni teraz kupić i gdzie indziej — powiedział Carl Marcy, przewodniczący Amerykańskiego Komitetu Porozumienia Między Wschodem i Zachodem, organizacją działającą w Waszyngtonie.

Jak informują przedstawiciele zainteresowanych kół handlowych, odmowa USA na dostawy tych wyrobów do Związku Radzieckiego z intencją zmuszenia go do prowadzenia polityki wygodnej dla rządu amerykańskiego, w gruncie rzeczy, jest absolutnie bezmyślną stratą potencjalnie ogromnego rynku zbytu dla amerykańskich towarów i techniki. Wraz z tym rząd rezygnuje z możliwości pewnego zmniejszenia deficytu w handlowym bilansie USA, zahamowania gwałtownego tempa wzrostu inflacji, zmniejszenia wzbudzającego niepokój problemu bezrobocia.

Handel uważano za jeden z głównych warunków rozładowania napięcia politycznego, a teraz stacymy się do tyłu, do innej epoki — mówi Donald Kendall, przewodniczący zarządu kompanii „Pepsico”.

Specjaliści w dziedzinie urządzeń do wydobywania ropy uważają, iż w wytworzonej sytuacji wiele dużych zamówień, łącznie z kontraktem na 144 mln dolarów, który zawarła kompania Dresser Industries, zobowiązuje się do wybudowania w ZSRR zakładów produkujących wysokotekłowe okucia do urządzeń wiertniczych, przejdzie teraz do rąk konkurentów z innych krajów.

Jesteśmy jedynym krajem zachodnim, który w stosunkach z ZSRR ucieka się do chwytów dyskryminacyjnych. Dlatego też ZSRR oddaje swoje zamówienia komu innemu — powiedział przedstawiciel jednej z firm amerykańskich, która otworzyła swoje przedstawicielstwo w Moskwie.

(C.)

JERZY CZECH

■ SPRAWOZDANIE DLA SESJI ONZ ■ NIE USTAJĄ PROWOKACJE ■ TYMCZASOWY RZĄD PORTUGALII

O Komitecie Rozbrojeniu — jako największym (poza sesją specjalną Zgromadzenia Ogólnego ONZ) i to stałym forum dyskusji o najważniejszym wspólnym problemie świata — plasiliśmy niejednokrotnie. Teraz okazją jest zakończenie letniej rundy obrad i przygotowanie sprawozdania dla sesji Zgromadzenia Ogólnego. Sprawozdanie to szeroko nawiązuje do stanowiska krajów socjalistycznych i uznaje powszechne rozbrojenie pod ścisłą kontrolą międzynarodową za najwyższy cel.

Dokument wymienia jako jeden z priorytetowych kierunków dalszych prac projekt konwencji o zakazie produkcji gromadzenia i rozmieszczania broni nuklearnej. Podkreśla, iż istotny wkład w prace Komitetu na temat całkowitego powszechnego zakazu przeprowadzania prób z bronią jądrową wnoszą trójstronne rokowania: ZSRR, USA i Wielka Brytania, które rozwijają się pomyślnie, a także radziecko-amerykańskie rokowania na temat zakazu broni chemicznej. Sprawozdanie określa kierunek prac, wynika-

jący z przedłożonej przez ZSRR i inne kraje socjalistyczne propozycji ustanowienia kompleksowego programu rozbrojenia, akcentując wagę zahamowania wysiłku zbrojeni i zapoczątkowania rozbrojenia nuklearnego. Tak więc w dokumencie znalazło się wiele poglądów krajów socjalistycznych.

Zanim przejdziemy do innego tematu tygodnia wyjaśnimy, że Komitet Rozbrojeniu na swej kolejnej sesji w styczniu 1979 roku pracować już będzie w powiększonym składzie i przy częstszych zmianach przewodniczących, co stanie się w następstwie decyzji specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Będzie też mocniej związany z aparatem ONZ.

Siedzący uważnie wydarzenia na arenie międzynarodowej z niepokolem przygląda informację, napływające z granicy chińsko-wietnamskiej. Mimo rozmów, jakie zapoczątkowane zostały w Hanoi, co mogło świadczyć o pokojowej rozstrzygnięciu, nie ustają prowokacje Pekinu. Ostatnio, jak wiemy z oświadczenia Mi-

nisterstwa Spraw Zagranicznych SRW, strona chińska zgromadziła na granicy z Wietnamem dziesiątki tysięcy osób z zamiarem przetrzepnięcia ich do tego kraju. Przypomnijmy, iż poprzednio mieszkałacy na terytorium wietnamskim obywatele pochodzenia chińskiego nakłonieni zostali przez Pekin do powrotu do ChRL. Istota tych manipulacji sprowadza się do utrzymania i podsycaenia napiętej sytuacji we wzajemnych stosunkach. Odnosi się wrażenie, że masłom chodzi o zakłócenie pokojowej pracy narodu wietnamskiego, który właśnie obchodził 33 rocznicę proklamowania Demokratycznej Republiki. Jak potem potoczyły się losy, ile zbrojnego wysiłku musiał włożyć naród wietnamski, aby stawić czoła interwencji „kolonizatorów francuskich, a następnie agresji amerykańskiego imperializmu — nie trzeba przypominać.

Z okazji 33 rocznicy w depeszy polskich przywódców do naszych wietnamskich przyjaciół podkreślano, iż „Polska solidaryzuje się w pełni ze zdecydowaną obroną suwerenności SRW wobec wielkomocarstwowego hegemonistycznego nacisku”. Jesteśmy przekonani — czytamy tamże — że naród wietnamski udzieli skutecznego odporu inspirowanemu przez obecne sily prowokacjom militarnym oraz próbom ingerencji w wewnętrzne sprawy SRW.

Raz jeszcze w aktualnych przychodzą nam powrócić do sytuacji wewnętrznej w

Portugali. Właśnie bowiem — po 6-tygodniowym kryzysie politycznym — zaprzysiężony został gabinet technokratyczny da Costa. W Lizbonie wszyscy przewidują, że rząd jest tymczasowy i dojdzie do przedterminowych wyborów powszechnych.

Trudna próba wli będzie musiał przejść da Costa pod koniec pierwszej dekady września w parlamencie. Popierając dotąd premiera prawicową CDS zapowiedział, że nie będzie go podtrzymywał w czasie głosowania nad wotum zaufania. Zmiana stanowiska Centrum nastąpiła po wywładze da Costa, w którym poprzedni rząd nazwał on nieudolnym oraz wypowiadział się za kontynuowaniem reformy rolnej. Również socjaliści, najliczniejsi reprezentowani w parlamencie, wciąż głowią, iż głosować będą przeciwko nowemu rządowi.

Wielu komentatorów jest jednak zdania, że wobec braku możliwości szybkiego innego rozwiązania — rząd zostanie utrzymany i w przyspieszonym terminie odbędą się wybory. Czy zatem gabinet da Costa ograniczy swoją działalność tylko do zatwierdzenia spraw bieżących? Byłoby to ze szkoda dla kraju, a zwłaszcza jego gospodarki, która domaga się rychłego uzdrowienia.

W. SŁAWSKI

CO Z TĄ KRYTYKĄ?

Artysta nie ma czasu zajmować się osobami krytyków. Recenzje czytują tylko tacy, którzy chcieliby być pisarzami. (William Faulkner)

Znany pisarz amerykański, laureat nagrody Nobla z 1949 roku, ma w zasadzie rację. W zasadzie, bo przecież zdarzają się artyści interesujący się tym, co krytyka ma w danej kwestii do powiedzenia. W zasadzie, bo u nas ostatnio artyści zajmują się osobami krytyków.

Ktoś, kto systematycznie śledzi periodyki literackie, zwłaszcza tygodniki, zauważyć może bez trudu, że w ostatnim okresie pojawia się w nich dość osobliwy ton. Mianowicie powstaje narzekanie na krytykę literacką: że zbyt ugięta, że ulegała wobec ośrodków dyspozycyjnych w stosunku do krytyki i recenzenta — to znaczy redakcji, że nie stworzyła perspektywnego i praktycznego zrzutu literackiego na szerszym tle zjawisk społecznych. Narzekają przeważnie sami autorzy. Prozący i poeci zgodnym chórem osądzają krytyków, choć z natury rzeczy powinni być przecież odwrotnie. Bardzo instruktywne w tym zakresie mogą być na przykład wypowiedzi zawarte w niedawnej (z początku 1977 roku) ankiecie „Życia Literackiego” na temat sytuacji krytyki literackiej w Polsce oraz w cyklu „Nurtu” zatytułowanym „Szkoła krytyków”. Wypowiadający się na łamach krakowskiego tygodnika i poznańskiego miesięcznika, z czynnymi krytykami włącznie, nie szczędzili gorzkich refleksji

pod adresem krytycznoliterackich „fantomów”.

Słowem, stwierdza się wyraźnie, choć na ogół nie wprost, że w naszym czasie zanikły wielkie indywidualności w rodzaju Stanisława Brzozowskiego czy Karola Irzykowskiego, że krytyka recenzentka bez reszty zdominowała inne odmiany krytyki. Bije się na alarm i ogłasza stan kryzysu w krytyce literackiej.

Czy jest tak rzeczywiście? Na czym polegać ma inkryminowany kryzys? I gdzie tkwią jego źródła?

Istotnie, krytyka literacka — mimo iż ukazuje się od czasu do czasu wypowiedzi interesujące i inspirujące — nie przeżywa swoich najlepszych dni. Ale na konstatację tę spojrzmy ostrożnie i z podwójnej perspektywy. Otóż stała niemalże cechą życia literackiego u nas jest narzekanie i wieszanie kryzysów w literaturze. Sceptycznie wobec tego stwierdzenia nastawionym chciałbym przypomnieć słowa Witolda Gombrowicza, gdy pisał, że ze wszystkich Polaków krytyk literacki — ten „fachowy oce-

niacz” — najmniej jest przygotowany do spełniania swej roli, bo najmniej zna się na ludziach, a co za tym idzie — na literaturze. Stwierdzenie paradoksalne, gorzkie, lecz zamyślenie. To jedna perspektywa: „odwieczne” narzekania i kpiny z krytyki. Perspektywa druga opiera się na subiektywnej ocenie bieżących zjawisk krytycznoliterackich. Słabość naszej krytyki polega — nie tylko moim zdaniem — na jej doraźności, akcydentalności. Na wyzbyciu się (bądź ograniczeniu) tak istotnego elementu działalności krytycznej, jak dyskusja i polemika, że zamilczę słowo kampania. Na rozmiękaniu się na drobne i na koleżeńskie przysługi. Na tym wreszcie, iż akt krytyczny staje się wypowiedzią prywatną, nie reprezentującą niczego więcej poza własnymi, często chwilowymi, impresjami. Nie odkrywam Ameryki, ani nie wyważam tu otwartych drzwi. Przypominam jedynie znamioną powszechnie znaną, by móc również zastanowić się przez moment nad ich przyczynami.

W rezultacie przemian w mechanizmach życia literackiego i zmiany roli literatury krytyka rzeczywiście sprowadzona została do poziomu usługowego. Dominuje „krytyk na usługach” — sprawny i przystosowany. Z rzadka pojawiają się wypowiedzi jasne, wyraziste, tworzące system, spójny model. Nieczęsto akt krytyczny staje się tekstem nie tyle o dziele samym, co z powodu dzieła. Postulatowa funkcja krytyki literackiej — spoglądanie na literaturę z punktu widzenia istniejących czy pożądanych sytuacji — ustąpiła zdecydowanie miejsca funkcji towarzyszącej na zmianę z funkcją rozumiejącą. Stąd i ewidentna przewaga recenzji (sprawozdawczych najczęściej) nad próbami bilansowania i weryfikacji. Dotychczasowa służebna pozycja krytyki wobec instytucji politycznych bądź obyczajowych przeobraziła się po prostu w pozycję służebną wobec samej twórczości literackiej.

Przed półwieczem Zygmunt Lempiński napisał, że krytyka powinna mieć charakter pragmatyczny i teleologiczny,

to znaczy w praktyczny sposób dążyć do celowego przekształcenia sytuacji literackiej. Gdy się czyta ironiczne, pełne niedosytu, stwierdzenia o przymierzaniu literatury do „raz przyjętego szablonu i smutnawego zwierzchnictwa krytyków, odnieść można wrażenie, że pragmatyzm rozumiany jest obecnie w ten sposób, żeby krytykiem po prostu być, funkcjonować w zbiorowej świadomości literackiej jako profesjonalista.

Przyczyn jest z pewnością wiele. Niektóre z nich tkwią poza samą literaturą, czy nawet życiem literackim. Ale i w samym współczesnym życiu literackim znaleźć można wystraszającą ilość powodów zaburzeń tradycyjnie rozumianych funkcji krytyki literackiej. Przede wszystkim wymienić należy postępującą i — niestety — nieuniknioną instytucjonalizację życia literackiego. Instytucje literackie są tak dawne jak i literatura, niemniej jednak rola ich ulega ciągłemu zmianie. Dlatego na przykład trybuna zjazdowa czy spotkanie w lokalu Związków Literatów Polskich zastąpić może z powodzeniem dyskusja w prasie literackiej, a nawet znieść całkiem dobrze gwałtowną polemikę w rodzaju publicystyki „Książki” czy heroldzkiego okresu „Współczesności”. Dlatego siedziby redakcji wydawnictw literackich (a jeszcze lepiej kawiarenki w wydawnictwach, jak ma to miejsce na przykład w „Czytelniku”) tętnią ożywionym rytmem, uzupełniając braki oficjalnej krytyki, to znaczy publikowanej w czasopiśmie. Uzupełnieniem tej krytyki są również wypowiedzi radiowe i telewizyjne, dość rzadkie jednak i ulotne.

Nie może pozostać bez wpływu na krytykę literacką pewna tendencja w ruchu wydawniczym, mianowicie publikowanie coraz to większej ilości serii wydawniczych. Ma to swoje uzasadnienie (również rynkowe) i nie zanosi się wcale, by wydawcy swe serie ograniczali. Wprawdzie wybitni czy tylko doświadczeni pisarze trochę się dają, że wlicza się ich bezceremonialnie do szeregu, ale rekompensuje to z kolei szansa dla mło-

dych, a zwłaszcza debiutantów — dla których udział w serii to wyraźna najczęstsza nobilitacja. Dla krytyków jednak jest to swego rodzaju uniformizacja — gwoździu sprawiedliwej oceny powinni każdą nowość, jaką ukazuje się w serii, widzieć na tle dotychczas opublikowanych w niej książek. Wszelako serie, nawet elitarne (jak PIW-owska seria polskiej prozy współczesnej) nie potrafią uniknąć przypadkowości.

I wreszcie modus vivendi współczesnego krytyka. Zdecydowanie bardziej woli on enuncjacje teoretyczne o funkcjach i społecznych obowiązkach krytyki literackiej oraz apele pod adresem kolegów, niżli samemu brać się do dzieła. Z wyjątkiem kilku bardziej niecierpliwych. Oto charakterystyczny cytat z postulatowego artykułu jednego z bardziej znanych naszych krytyków, notabene profesora uniwersytetu: „Krytyka literacka, pojęta jako działalność kulturotwórcza, nie rozgrywa się wyłącznie między twórcą i odbiorcą jego dzieł. Musi ona również szeroko i dogłębnie uwzględnić dążenia społeczne i narodowe współczesnej Polski”. Nie dodać, nie ująć.

Czy znaczy to wszystko, iż należy dyskwalifikować współczesną krytykę literacką? Nie sądzę. Totalne jej potępienie byłoby tylko wylaniem dzieła z kąpielą. W końcu talenty krytyczne też nie rodzą się na kamieniu, a nie najlepszy stan krytyki wynika chyba nie tylko z lenistwa umysłowego i z obawy, by broń Boże nie stanąć kością w gardle panom pisarzom. Nie zmienia to jednak w niczym przeświadczenia, że i panowie krytycy powinni o swojej kondycji pamiętać. Inaczej i w Polsce upowszechni się złośliwe powiedzenie Harolda Pintera, angielskiego przedstawiciela teatru absurdu, że „krytycy są to jedyni teoretycy skoku w dół”.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

MAUZOLEUM — JEANS

Istnieje długa i uzasadniona tradycja, w myśl której architektura budynków o specjalnie doniosłych funkcjach odróżniała się w sposób jednoznaczny od wszelkiego innego budownictwa. I tak banki, sądy, kościoły, więzienia, miejskie wille i pałace różniły się wielkością, formą, a także — materiałem, ozdobą i wykładzinami architektonicznymi, które tę funkcjonalną odrębność akcentowały i tłumaczyły. Można — spoglądając na wielowiekową historię architektury — mówić o bogatym repertuarze środków, które służyły wyłącznie do podkreślenia prestiżu budowli, a tym samym prestiżu funkcji. Dziewiętnastowieczne fabryki w Łodzi budowano z czerwonej, nietykowanej cegły, podobnie jak domy dla robotników. Dlatego właśnie — między innymi — całkiem odmiennie kształtowała zewnętrzna „oprawa” czynszówek na Piotrkowskiej itd., itd. Modernizm naszego stulecia wniósł do architektury nowe wartości: w miejsce ozdoby główna rola przypadła funkcji. Funkcjonalizm oznaczał nie tylko kompozycję bryły i wnętrza całkowicie zgodną z użytkowym przeznaczeniem, lecz także odrzucenie wszelkich elementów zbędnych i niewłaściwych. Jedno wszakże pozostało jak dawniej: ostateczny kształt budynku wyznaczała funkcja.

Są w architekturze nie tylko formy obdarzone konkretnym znaczeniem (dla przykładu — wysoki budynek z wieżą przy jednym z końców, ze spadzistym dachem oznacza na ogół świątynię) lecz również materiały, jakie służą wykończeniu i ozdobie. Tradycyjnie już tyklowana elewacja uchodziła za kosztowniejszą niż ceglana, tym samym jest bardziej odpowiedzialna dla funkcji o większym znaczeniu. Wyższy status ma elewacja obłożona piaskowcą wykładziną, specjalnie szlachetnym tylnym itp. Hierarchizacja wartości przypisywanych poszczególnym formom architektonicznym wyraża — istniejących w rzeczywistości lub jedynie tradycyjnych — służy nie tylko zaspokojeniu prestiżowych ambicji użytkowników. Ona także porządkuje nasze „materiałne środowisko”; sprawia, że poruszanie się w nim jest łatwiejsze. Stare przysłowie ostrzega: „Trzy rzeczy w szlacheckim mieście nagany być godne: kędzior wyższy niż kościół, karczma okazalsza niż ratusz, piśniarnia strojnieszka niż szpital”. W ten sposób tradycja organizowała miejsce dla poszczególnych funkcji w przestrzeni miasta i było nam z tym dobrze.

Ale teraz, niestety, dla której nie ma nie świętego (a zwłaszcza tradycji) i w tej mierze wiele przewartościowa. Nie chodzi tu o zaprzeczenie w rozwiązywaniu formy architektonicznej podstawowym wymaganiom funkcji — choć i takie rzeczy się realizuje, niekiedy bardzo intere-

sujące. Zawsze mi się jednak zdawało, że pewne formy, a zwłaszcza materiały ze względu na swoją „dostojność” nie powinny być używane byle gdzie. Granity, marmury, porfiry i bazyły znakomicie pasowały dla najbardziej dostojnych budynków: parlamentów, głównych banków, pomników i mauzoleów. Szczególnie granit kojarzy się — sądzę, że nie tylko mnie — z mauzoleami czy podobnymi „przybitkami”; to samo dotyczy szarych marmurów. Wystarczy zresztą przejść się na pierwszy z brzegu cmentarz...

Tymczasem codzienna praktyka wykazała, jak dalece pozostaje w błędzie. Piotrkowska — ta ulica, na której wszystko rzekomo ma się mieścić, mieści dziś coraz więcej sklepówch elewacji poobkładanych najdosłowniej z dostojnych granitem i marmurem. Zaczęło się to, o ile dobrze pamiętam, od lokalu „ORBISU”. Potem przyszła kolej na aptekę i sklep Wedla. Teraz granitową oprawę ma tuż obok kwaciarnia i co najważniejsze — PEWEX, ten sam co sprzedaje masowo upragnione Wranglery i Levisy. Leżą te materiałne symbole „kultury w stylu blue” (jak to określił KTT) w granitowej oprawie, niczym sztaby złota w Bank of America i przekonują, co się naprawdę na Piotrkowskiej liczy. Wiele czynników, co prawda, taką pewnością siebie usprawiedliwia, ale... w tym wypadku ostentacja trzeba uznać za co najmniej pretensjonalną. Nie wiem tyl-

ko, czy wypada mieć o to pretensję do PEWEX-u czy raczej do architektów, którzy w ten właśnie sposób wyobrażają sobie nowoczesność i wysoki standard.

Znaczenie poważniejszym grzechem, który tu popełniono, było całkowite nieleczenie się z architekturą kamienicy przy Piotrkowskiej 116, z najbliższym otoczeniem. Nowobogacki przepych wykładziny samego tylko parteru widać najbardziej na tle ubóstwa sąsiednich sklepów, odrapanych fasad, polamanych płyt chodnikowych. Zapomniano w tym wypadku — podobnie jak w wielu innych — o tak modnej dziś „kompleksowości”. Czy rzeczywiście modernizacja sklepów ma być przykładem wielokrotnie krytykowanego partycularyzmu?

Co dalej? Nie dopuszczam ani na krok wizji Piotrkowskiej zakutej w granitowe mauzoleum. Ktoś — i to niebawem — powinien zatrzymać inwazję materiału, który stosować trzeba oszczędnie, w uzasadnionych funkcjach wypadkach lub też na niewielką skalę, raczej jako ozdobnik. W ten sposób granit pozostanie tym, czym jest: materiałem szlachetnym i niecodziennym.

Swoją drogą — ciekawe, co będzie w wypadku przebranzwienia tego sklepu. Granitowa okładzina (jeśli dobrze założona) pozostanie. Ale co w niej będzie można kupić: wólczkę? A może „Wyborową” za dewizy...?

A.M.

JEJ PIĘKNY DZIEŃ URODZIN

Jeszcze jedna relacja okupacyjnych losów? I tak. I nie.

Dwudziestolatnia dziewczyna daje się wciągnąć w nie określoną bliżej działalność wywiadu wojkowego, wymierzona przeciw III Rzeszy. Głównym motywem, który pchnął ją na tę drogę — jak sama przyzna — w liście pisany w więzieniu — nie były nawet uświadomione sobie względy patriotyczne. Pociągło ją ryzyko, przygoda, romantyczny sztafaj tej niebezpiecznej gry. Naturalny w tym wieku brak doświadczenia życiowego i związany z nim niedostatek wyobraźni spowodował, że nie była przygotowana psychicznie do stawienia czoła tragicznym kolejom swego losu.

W jednym z zachowanych listów Krystyny Witulskiej opisany jest moment, w którym dziewczyna w sposób zaskakujący natychmiast dojrzała do sytuacji. Oto samochód gestapo wiezie ją na pierwsze przesłuchanie na ulicę Szucha. Krystyna

wygląda przez okienko i widzi przechodniów wypełniających ulicę. Ci ludzie są tak blisko niej i tak daleko. Dzieli ją od nich tylko szklana szyba, a przecież przekroczyła już szczególną linię cienia. Właśnie, że nie należy już do tego rozbieganego, zajętego swoimi sprawami i kłopotami tłumu. Dla niej czas zaczyna biec zupełnie inaczej. Zmierzając nieuchronnie ku śmierci.

Świadomość umierania nie jest normalnym stanem psychicznym dla dwudziestolatniej dziewczyny. Jej również wchodzi dopiero do dobre w życie, snują dalekosiężne projekty i marzenia, przeżywają miłosne wzloty, zakładają rodzinę, doznają radości macierzyństwa. Dla Krystyny ta sfera doznała uległą gruntownej redukcji. Ponury cień topora, jak symboliczny wyraz średniowiecznego okrucieństwa, zawisł nad jej głową od chwili, gdy sąd Rzeszy z zachowaniem jurydycznego rytuału skazał ją na śmierć.

Zadziwiające wręcz jest, jak połozenie, w którym znalazła się Krystyna, zdeteminowało jej przyszły rozwój, ukształtowało charakter, nadało jej sądowi ową głęboką mądrość, będącą zwykłym atrybutem starości. Odpowiedź na to jest jedna: dziewczyna zrozumiała, że jej czas jest ściśle ograniczony i że swoje życie musi w jego ramach zmieścić. Prowadziło to w efekcie do owej zdumiewającej kondensacji myśli i uczuć, z jaką mamy do czynienia w zetknięciu z korespondencją więźniarki Krystyny Witulskiej.

Andrzej Brzozowski należał do wybitnych reżyserów — dokumentalistów, przy czym jego twórczość filmową cechuje równocześnie wielka wrażliwość i niechęć do natrętnego manifestowania wzruszeń. Wszelki sentymentalizm i łzawa czułość wódzą się mu absolutnie obce. Dąży raczej poprzez chłodną, intelektualnie nabrał relację do wywołania u widza właściwego rezonansu. Ta-

ką metodą przyjął Brzozowski m. in. we wstrząsającym filmie o Oświęcimiu pt. „Archeologia”, który przyniósł mu szereg nagród międzynarodowych i krajowych.

W robocie ekranowej reprezentuje ogromną, niemal matematyczną precyzję, bardzo przemyślane i świadome zamierzonych efektów budowanie obrazu. Inteligentnej analizie treściowej towarzyszy intelektualnie kontrolowany dobór środków formalnych. W tym tkwi mistrzostwo i niepowtarzalność warsztatu filmowego tego reżysera.

Sięgając po autentyczne listy i grypsy Krystyny Witulskiej, które zachowały się i opublikowane były w obszernym wyborze książkowym, Brzozowski narzucał sobie i aktorom żelazną wręcz dyscyplinę, nie zezwalając na żadne apele do konwencjonalnych uczuć widza. W spektaklu telewizyjnym „Mój piękny dzień urodzin” mamy refleksję, mamy zadumę, mamy wreszcie anatomiczną niemal sekcję myśli i uczuć człowieka zawieszzonego między życiem i śmiercią.

Brzozowskiemu nie chodziło o wywołanie widowiskiem tym współczucia dla młodej dziewczyny. Ściętej toporem w więzieniu w Halle an der Saale w czerwcu 1944 roku, w kilkanaście miesięcy po aresztowaniu w Warszawie. Trudno nawet dopa-

trzeć się w tym spektaklu wyraźnych intencji oskarżycielskich pod adresem sprawców cierpień i męczeńskiej śmierci Krystyny. Te, oczywiście, wynikają same przez się.

Reżyser skupił się na filozofii człowieka, który znalazł się w sytuacji Krystyny. Uwpokilił to wszystko, czym człowiek w celi śmierci gorzej nad innymi ludźmi, w gruncie rzeczy, także skazanymi na śmierć. Wszyscy jesteśmy na nią skazani, tylko nie znamy jej terminu, odsuwamy myśl o niej, krzyczymy się wokół doraźnych spraw, załatwiamy swoje małe interesy, robimy przy tym małe świństwa (tak tak!). Krystyna i jej towarzyszy oczekujące na ścięcie, wolne są od tego. W tym położeniu ustraszają wyzbyć się wszelkiej interesowności i egoizmu, rozwinąć to, co w człowieku najwartościowsze: godność, miłość do ludzi, solidarność.

Głęboko humanistyczna treść listów zza grobu przyobłąka Brzozowski w wywołaniu, rytmicznie wręcz dozowany zespół środków wizualnych, jak choćby owo wylanie się Krystyny (świeża kracja Jadwigi Jankowskiej!) jakby z więziennej ankiety personalnej. Znaczący, mistrzowski zrealizowany spektakl!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefon 652 44 i 680 99. Warunki prenumeraty: miesięcznik 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękojmiów nie zwraca, za strażkę sobie również praw skrótków. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUEIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosz.”. Druki: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Nr indeksu 26762, Zam. 1943. 1-10.